

Mysł Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 24

20 maja, 1942.

Cena (Price) 9d.

TREŚĆ:

Etapem

Podstawa wojny totalnej — Mieczysław Harusewicz
Czy Polonia amerykańska spełni swoją rolę — Henryk W. Dziulikowski
Europa środkowa — ośrodkiem pokoju — Junius

Noty i uwagi —

Horyzont wojenny
Sprawa "Drugiego Frontu"
Świat i Europa
Okrucieństwa niemieckie i dyplomacja sowiecka
"Pełna jedność narodowa"
Przyjaciółka Polski

Z prasy i publicystyki —

Echa "Drugiego Frontu"
Co przeszkadza generałowi de Gaulle
Rozpromieniony Dobrowolski
Echa zamorskie naszych trudności dyplomatycznych
A co robi min. Stroński?

Dobroniemiecka orientacja
Prestiż moralny Anglii a Kraje Bałtyckie
Trzecia Republika
Kraina zagadki
Polska wzorem dla Francji
Polska w nowej Europie
Sir Bernard Pares a Polska
Mowa na czasie
Pouczanie Anglii o Sowietach
Never again

Z wydawnictw —

Report on France
Hitler's New Order, Kaiser's New Order

Listy do Redakcji:

Niepotrzebne wykoślawienia
Nie — Polak

Mimochodem —

Dobry żart tynfa wart
Bomby i bryczesy

ETAPEM

SPECJALNYM zjawiskiem tej wojny są sprawy masowych przesiedleń ludności na ziemiach objętych wojną. Znały to zjawisko i dawne wojny, ale znały je nie w tej skali. Dotychczas były to przesiedlenia tysięcy. Dziś przenoszono miliony, całe społeczeństwa . . .

Po zajęciu Polski Hitler porwał się na jeszcze jeden gigantyczny plan: wywiezienia Polaków z ich ziemi, a w każdym razie z dużych jej części. Dziś wiadomo, że i ta gigantyczność, poza pierwszym momentem impetu, zawodzi i zawiedzie, jak wszystkie jego kolosalne kalkulacje. Ale nawet skutek tej, w zasadzie nieudanej próby, poszło i trwa znaczne, niespotykane dotąd w historii przesiedlanie wielkich mas ludzkich: na terenie Rzeszy znajduje się w tej chwili do 3 milionów Polaków, trzymany tam w charakterze jeńców wojennych i robotników zaciągniętych do prac przymusowych. To jedno. Po drugie, w obrębie samej Polski dokonano olbrzymich ruchów ludnościowych, przerzucając z jednego krańca kraju na drugi wiele milionów ludzi. I po trzecie, wprowadzono na teren ziem polskich wielkie masy ludności niemieckiej. Należy przypuszczać, że ta okrutna zabawa we władza mas ludzkich obróci się u końca tej wojny w sposób straszny przeciw samemu zbrodniarzowi.

W obrębie okupacji sowieckiej miało miejsce podobne zjawisko przesiedlania ludności polskiej. Około dwóch milionów Polaków wywozły władze sowieckie ze wschodnich ziem polskich w głąb Rosji. W tym wypadku sprawę komplikowała przestrzeń Rosji i decyzja rozbicia na drobne grupki wywiezionej dwumilionowej masy. Stworzono wszelkie warunki po temu, aby ci ludzie rozplynęli się w kotle rosyjskim i aby powstało w nich przekonanie o zamknięciu wszelkich dróg powrotu.

Wypadki zmieniły i te warunki, i to przekonanie.

W każdym z nas, którzy przeżywamy dzieje tej wojny, mimo wszystko w bliskim promieniu Kraju — przez te ubiegłe lata na spodzie wszystkich myśli i wszystkich odczuwań, jak bolesna rana tkwiła pamięć przede wszystkim o tych, których wywieziono w głąb Rosji. Można powiedzieć, że nie było dnia i nie było chwili w czasie ubiegłych lat wojny, w którychby obraz tych ludzi nie stawał przed oczyma i nie dręczył pytaniem: "Co z nimi?" W cierpiącej Polsce jest kilkadziesiąt milionów umęczonych ludzi, na terenie Rzeszy 3 miliony zaszczytów Polaków. Przypadamy do nich pamięcią, staramy się im pomóc, przysięgamy pomścić ich krzywdy. Najczujniej jednak i najczulej szła myśl do tych, których rzucono w przestwór wielkiej Rosji. Dokonywał się w każdym z nas zjawisko psychologiczne, którego tak wspaniały wyraz znajduje się w Ewangelji, w przypowieści o zgubionej je d n e j owcy z całego dużego stada.

Podziwu godna jest lekkomyślna nonszalancja ludzi, którzy, zastanawiając się nad zjawiskami świata, skłonni są przypuszczać że fakty naruszające naturalny bieg rzeczy mogą ginąć, skoro są niewygodne, lub niepożądane. Otóż nie! Żadne, najdrobniejsze nawet zjawisko z zakresu życia społecznego nie ginie niezauważone i bez wywarcia tkwiących w nim skutków. Można dokonać przeniesienia mas ludzkich, skoro się ma po temu siłę. Ale przeniesienie jest dopiero początkiem procesu, nie jego zakończeniem. Z tą chwilą dopiero się pewna sprawa zaczyna.

I może nigdzie wyraźniej i jaskrawiej nie ujawnia się fakt konieczności n a r o d o w e j więzi grupy ludzkiej, jak na tych smutnych przykładach wywożeń.

W obrębie grupy narodowej z chwilą powstania takiego zjawiska, jakim jest wyrwanie masy ludzkiej z jej siedzib w inne, dalekie warunki bytu — powstają natychmiast dwa równorzędne procesy: w ludziach wywiezionych utrwala się,

sublimuje, oczyszcza potężne uczucie patriotyczne i zjawia się ponad wszystko silniejsza, nostalgiczna chęć powrotu, a równocześnie w masie, która pozostała, zaostrza się czujność i mobilizują siły, aby utraconym chwilowo — umożliwić drogę powrotu.

W tym tkwi zarazem najistotniejsza różnica instynktów: narodowego i międzynarodowego. Problemy międzynarodowe można naprawdę widzieć, akceptować i przeżywać tylko poprzez ład narodowy. Nie można przeżywać w sposób twórczy rzeczywistości bez względu na miejsce, gdzie bezwolny los rzuci, bez względu na zmieniające się ciągle drogi, warunki, ludzi i obyczaje.

Poza prawami i obowiązkami obejmującymi wszystkich, istnieją jeszcze odrębne dla każdego narodu konieczności. Siła konieczna do zaspokojenia tych potrzeb oparta jest na ludziach, na liczbie istnień, uznających jedne i te same sprawy za sprawy sobie najbliższe. Polska wskutek obecnej wojny utraciła wiele milionów swoich ludzi. Jednych utraciła nawsze. **Nie ma możliwości iść po nich poza próg śmierci.** Innych utraciła wskutek wywożeń. Tych nie może jednak utracić. O każde istnienie ludzkie przyjdzie się upomnieć, o każde prawować — dopóki wszyscy się nie znajdą i nie wrócą do miejsc, z których zostali siłą wywiezieni.

Przemawiając tu w imieniu Stronnictwa, które buduje przyszłość Polski na podstawach więzi narodowej, pragniemy zaznaczyć, że dla nas szczególnie, dla nas przede wszystkim zagadnienie wywiezionych jest sprawą zasadniczą. Absolutnie nikogo nie może zabraknąć w rozwiązywaniu tych zadań, które staną przed Polską po wojnie. Nie może zabraknąć przedewszystkim Was, tułaczy po bezkresnych szlakach Rosji. Was przedewszystkim. Mówiono Wam, przeinaczając prawdę, że zapatrzeni w wielkie sprawy Polski — gotowi byliśmy oddać Was na stracenie, uważając, że Polska jest ważniejsza od dwóch milionów ludzi. A my chcemy Wam powiedzieć, że dla nas sprawa Polski, to sprawa Was, to Wasz los, Wasze życie, Wasze gorzkie przemyślenia, zbierane w samotności ostatnich trzech lat.

Nie chcieliśmy i nie chcemy, aby wasze sprawy były załatwiane tylko przez pół, ale, aby były załatwiane w całości. Chcieliśmy i chcemy, abyście wszyscy znaleźli się jaknajszybciej przy warsztacie polskiej pracy.

Bo zła by to była koncepcja narodowa, któraby na drogach wielkiego świata chciała gubić po kawałeczku swój naród.

* * *

Na dworcach Lwowa, Stryja, Stanisławowa, Wilna i Łucka zbite gromady spędzanych z całej okupacji sowieckiej Polaków miały twarze zastygłe w wyraz rozpacz. Nadzorca z N.K.W.D. przyglądał się temu ze zdziwieniem.

... „Czemu rozpaczacie — mówili — czemu wyglądacie, jakbyście jechali na śmierć. Tak wy jedziecie żyć! Że daleko? My ciągle z rozkazu władz jeździmy daleko. Nie usiedzisz na miejscu ani trzech lat. Zeszłego roku ja był jeszcze w Astrachaniu, teraz jestem tu, a za rok... Ojczyzna sowiecka jest przestrzenna, a ojciec Stalin ma swoje pomyslenie. Że rozdzielają was od rodziców? Wydoroslejesz ty, wydoroslejesz, własne zaczniesz życie. Że wzięli ci męża? Znajdziesz sobie innego. Że do innej ziemi każą iść? Ziemia wszędzie ta sama, a burżujski to obyczaj wiązać się z jedną ziemią. Komunista jest wszędzie u siebie...”

Mimo takich pociech wyraz rozpacz nie schodził z twarzy. Przez dworce Lwowa, Wilna i Łucka przeszło na wschód około dwóch milionów Polaków. Mniejsza teraz z tym, na podstawie

jakiego prawa, dość, że w obrębie tych ostatnich kilku lat rezerwar polskich sił biologicznych wylał się i od wschodniego brzegu. Dokonała się rzecz niewiele posiadająca w historii precedensów: w dziewięć miesięcy około dwóch milionów ludzi wygnano z dotychczasowych miejsc zamieszkania i rzucono w inne życie.

Lepiej powiedzieć w inne — życia. Ponieważ nie szli, nie wieziono ich zbitą gromadą, ale rozproszono na drobne, drobniutkie strumyczki i wsączono w glebę, piaski i polepe stepową wielkiej Rosji. Miał rację ludzki pocieszyciel z N.K.W.D. — ojczyzna sowiecka jest wielka. . .

Pierwsze ich uczucie musiało być uczuciem zagubienia. Przytłoczyła przestrzeń, przeraził inny układ gwiazd na niebie. Było to pierwsze uczucie, ale niestety uczucie trwałe. W wielu trwające do dziś dnia. W tych, którzy nie zostali dotąd odnalezieni, albo w tych, którzy — odnalezieni — nie mogą rozporządzać w dalszym ciągu swoim losem dowolnie. Musiały być chwile bardzo różne. Nie chce się o tym pisać. Poco rozgrzebywać rany. Ale musiało być strasznie.

A oto teraz jest tak: w ostatnich tygodniach przez południową granicę sowiecką przeszły na teren Persji pierwsze szeregi żołnierzy polskich sformowanych z tych, których przed dwoma laty ogarniało uczucie nieodwracalnego zagubienia. Z tych rzekomych wraków powstaje armia, która stanie na jednym z najważniejszych punktów strategicznych tej wojny kontynentów.

To wiele, ale to zarazem z tych dwóch milionów tak bardzo mało. Potwornie wielka liczba zostaje na terenie, który jest terenem wygnania. Nadzieja chwieje się jak sygnał świetlny na wzburzonej, ciemnej fali. Raz zbliża się, raz zupełnie gaśnie. Nadzieja po umowie polsko-sowieckiej, później długie miesiące oczekiwania, nadzieja po pobudce zgłaszania się do szeregów armii polskiej, później przeszkody: ręce za słabe, ciało schorowane, nerwy porwane na strzępy; biorą nietylko mężczyzn, biorą także kobiety, ale nie wszystkie. Pozatem, co z dziećmi? I znowu przyptyw rozpacz: wzięli trochę najlepszych, ale zbiedzone masy zostaną. Zapomni się o nich, tyle ważniejszych spraw.

Nieprawda!

W tych miesiącach, w tych strasznych latach niemal we wszystkich punktach całego świata trwa nietylko wojna, zaczyna się już budowa. Budowa nowego życia, która ma zapanować. Jest to jedyny sens tej wojny, która jest największą z rzeźni i największą z sal tortur, jakie widział dotychczas świat. Może się wydać nieprawdopodobieństwem, może uchodzić w pierwszej chwili za drwinę albo frazes, ale tak przecież jest — ten nowy świat, ten lepszy świat, który nadchodzi, budować będziecie — Wy. Nie tylko my, którym przypadł, jak dotąd, bezpieczniejszy los w tej wojnie, ile przede wszystkim — Wy, Polacy znoszący okupację w Kraju, Polacy cierpiący po obozach koncentracyjnych, obozach jenieckich i miejscach przymusowej pracy, Polacy wywiezieni na wygnanie, Wy, zbiedzona tułaczka, głodem i rozpaczą masa wygnańców polskich w Rosji. Budowę będą prowadzili ci przedewszystkiem, którzy najwięcej cierpieli, którzy najdłużej spoglądali śmierci w oczy i w tym straszliwym spojrzeniu zobaczyli właściwy kształt rzeczy. Bo ten świat, który przyjdzie — musi być nareszcie światem **prawdziwym.**

Salutujemy Was, żołnierze polscy, którzy stajecie do walki o Polskę, o sprawiedliwość powszechną, na dalekich ziemiach Persji. Pozdrawiamy Was, Polacy, którzy rozsiani po obszarach Rosji czekacie na powrót do Polski. Odrzucamy precz, jak łachman zdarty, który Wam tak bardzo dokucza, trującą myśl o zagubieniu. Oto odnaleźliśmy się, oto jesteśmy jedno.

I nigdy nie było inaczej, nigdy inaczej nie będzie.

Mieczysław Harusewicz

PODSTAWA WOJNY TOTALNEJ

BARDZO pożyteczną byłoby rzeczą, ażeby poważna opinia naszych anglosaskich sprzymierzeńców zastanowiła się nad odpowiedzią na następujące pytanie: czy jest do pomyślenia prowadzenie wielkiej, totalnej, i lata całe trwającej wojny wbrew woli większości narodu? Oczywiście jest, że szczególnie dla nas, Polaków, pytanie to ma znaczenie specjalne, gdyż z odpowiedzi na nie wypływają daleko idące konsekwencje natury politycznej i to w dziedzinie posiadającej dla nas wyjątkową wagę. Chodzi tu przecież o kapitalne zagadnienie odpowiedzialności za wojnę i zbrodnie niemieckie, zagadnienie kluczowe, od rozwiązania którego zależy nie tylko układ stosunków pokojowych w przyszłej Europie, ale, nie wahamy się dodać, możliwości rozwoju, a nawet może wogóle bytu, współczesnej cywilizacji chrześcijańskiej i normalnego postępu ludzkości. Któż dziś może bowiem zaręczyć, że wtrącenie świata poraz trzeci przez Niemców w kataklizm wojny, i to wojny jak zawsze, znowu "ulepszonej," w formie, jakiej nasza wyobraźnia nie potrafi teraz sobie przedstawić, nie spowoduje zupełnego upadku i likwidacji tych wszystkich wartości, które składają się na pojęcie współczesnej cywilizacji i kultury, dorobku wielu stuleci i olbrzymich wysiłków!

Aż dziw bierze, jak już wiele napisano i wypowiedziano na temat konieczności wysiłku całego społeczeństwa dla podłożenia zadaniom narzuconym przez wojnę totalną, a jak mało, a częstokroć wcale, nie wyciąga się z tego stwierdzenia konsekwencji, jeśli chodzi o ustalenie stopnia zaangażowania się narodu niemieckiego w imprezę polityczno-wojenną dla zdobycia władzy nad światem.

O ile już w dawniejszych warunkach słuszną była zasada, że niesposób prowadzić ciężkiej i długotrwałej wojny, wymagającej wiele ofiar i wysiłku, wbrew woli narodu (w rozumieniu oczywiście jego większości), to w odniesieniu do współczesnych warunków, wytworzonych przez rzeczywistość wojny totalnej, zasada ta jest postokroć bardziej słuszną i niesporna.

Historycznie biorąc, powyższe prawo, rządzące psychologiczno-społecznym aspektem wojny, datuje się conajmniej od czasów wprowadzenia do szeregów wojennych najszerzych mas narodu t.j. od chwili rekrutacji żołnierza w drodze powszechnego i przymusowego poboru.

Sądzić należy, że nikt poważny nie będzie twierdzić, że w dobie dzisiejszej, w dobie wojny totalnej i totalnego wysiłku wojennego, możliwe jest osiągnięcie go na większą skalę i w dłuższym okresie czasu bez zrozumienia, woli i czynnego poparcia ogromnej większości społeczeństwa. Takiej możliwości przeczy nie tylko podstawa i mechanika dzisiejszej organizacji wojennej, ale i słuszne wyczucie przywódców wszystkich walczących dziś narodów. Olbrzymi wysiłek wkładają oni w to wszystko, co prowadzi do wyzwolenia maximum inicjatywy i poświęcenia nie tylko u walczących żołnierzy, ale może nawet przede wszystkim u robotników przemysłu wojennego, pracowników zatrudnionych w transporcie, w centralach energetycznych, na roli, w przemyśle spożywczym i niemal wszystkich gałęziach narodowego organizmu gospodarczego.

Jeśli totalny i świadomy wysiłek całego narodu potrzebny jest do prowadzenia wojny **obronnej**, to oczywiście tym bardziej potrzebny jest on do prowadzenia wojny **ofensywnej**, **napastniczej**, gdyż zawsze atak wymaga przewagi, a przewaga większego wysiłku.

Naród niemiecki, dopóki tylko będzie miał nadzieję zwycięstwa i pozycji "Herrenvolku," nie odmówi poniesienia świadomego i dobrowolnie największego nawet wysiłku na rzecz osiągnięcia tych celów. Wiele mamy dowodów, że czyni to nawet z entuzjazmem i fanatyzmem. Natomiast nie ulega wątpliwości, że wysiłek ten spadnie, a nawet załamie się z chwilą gdy z jakichkolwiek bądź przyczyn nadzieja na zwycięstwo i osiągnięcie jego rezultatów upadnie. I nie żadne skrupuły

natury moralnej, obudzone u "dobrych Niemców," sprawią że odmówią kiedyś szerokie rzesze narodu niemieckiego dalszego wysiłku wojennego i krwawienia się na froncie i w bombardowanym "Vaterlandzie." Sprawić to może tylko przeświadczenie o beznadziejności i bezcelowości dalszych ofiar i strach przed groźbą kary i odszkodowania, tym większy, im dłuższą, krwawszą i więcej zniszczeń powodującą jest akcja niemieckiej maszyny wojennej.

Jeśli się chce zachęcić Niemców do sabotowania wysiłku wojennego Rzeszy, to nie osiągnie się tego przez głoszenie zasady, że tylko hitlerowcy odpowiadają za wszystkie zbrodnie, a naród niemiecki będzie traktowany na równi z innymi narodami. Hitlerizm im obiecuje nie równość, ale uprzywilejowane stanowisko wśród innych narodów. Równość już mieli i to im nie wystarczyło. Przy takim stawianiu sprawy jak wyżej, każdy Niemiec ma interes w tym, by do ostatniej chwili, nawet gdy już prawie stracone będą nadzieje, nawet gdy szansa zwycięstwa będzie jak 1:100, jeszcze cały swój wysiłek włożyć w sprawę wojny, bo alternatywą zwycięstwa i przywileju jest **równość, i nic już gorszego od niej nie grozi, chociażby jeszcze wymordowali milion, zagłodzili parę milionów, a zrujnowali kilkanaście dalszych milionów ludzi.**

Groźba kary, która w miarę rosnących w Niemczech wątpliwości co do zwycięskiego zakończenia wojny będzie coraz więcej nabierać ponurego realizmu, jeśli ma być skuteczna, musi być dynamiczna. To znaczy, że winna być ona stale zmienna w swej wielkości i zasięgu, a miarą jej wzrostu, winna być rosnąca bez przerwy w tej wojnie fala krwi ludzkiej, ogrom zniszczenia i otchłań cierpień.

Nieodłączna współzależność między tymi czynnikami, pomiędzy wielkością zbrodni i wielkością kary, musi być tak mocno wbita w świadomość całego społeczeństwa niemieckiego, ażeby w momencie pierwszego silniejszego podmuchu wątpliwości co do zwycięstwa, automatycznie zaczęły działać wszystkie psychologiczne hamulce umysłów żyjących wiarą w siłę i strachem przed siłą. Kto zna Niemców i ich realizm, ten musi przyznać, że jednym z najskuteczniejszych sposobów skrócenia wojny byłoby solenne obiecanie narodowi niemieckiemu w odpowiednim momencie, gdy szale siły militarnej zaczną się przeważać: każdy miesiąc przedłużonej wojny—to dodatkowe 3 miesiące okresu okupacji Niemiec; każda setka pomordowanych niewinnych ofiar w krajach okupowanych—to dwie setki rozstrzelanych Niemców spośród policji, oddziałów partyjnych i administracji niemieckiej; każda tona zagrabionego dobytku—to 2 tony wywiezionych z Niemiec towarów, maszyn, surowców, materiałów budowlanych, żywności, mebli, pościeli, dzieł sztuki, futer i ubrania; każda robotniko—dniówka wymuszona na wywiezionych siłą robotnikach—to 3 robotniko—dniówki, jakie ludność niemiecka spłaci własną pracą przy odbudowie zniszczonych krajów okupowanych; każde zmarnowane przez młodzież krajów okupowanych półrocze nauki, lub semestr studiów—to unieruchomienie niemieckich uczelni na analogiczny okres czasu.

A więc wyręczając naszą oficjalną propagandę, która zbyt jest zajęta sławieniem jednych i zwalczaniem innych rodaków, by mieć jeszcze czas i pomysły na rzetelną robotę propagandową, winniśmy zwrócić się do naszych anglosaskich aliantów i poddać im do przemyślenia powyższe argumenty. Mamy nadzieję że z biegiem czasu do olbrzymiej większości przemówią nieodpartą logiką pewniki:

- 1) **Niema wojny totalnej bez totalnego wysiłku.**
- 2) **Niema totalnego wysiłku bez woli narodu.**
- 3) **Za niemiecką wojnę totalną odpowiada niemiecki naród.**
- 4) **Wola narodu niemieckiego może i winna być sparaliżowana jedynie strachem.**

Henryk W. Dziulikowski

CZY POLONIA AMERYKAŃSKA spełni swoją rolę

Autor powyższego artykułu — obecnie w Wielkiej Brytanii — po ukończeniu studiów w Polsce wyjechał do Stanów Zjednoczonych A.P. i pracował tam kilka lat wśród Polonii amerykańskiej w wolnym zawodzie. Jego młody wiek, ścisły związek z życiem Polonii od strony nieoficjalnej oraz długość pobytu — dały mu wyższość nad wielu innymi obserwatorami z Polski życia, myśli i uczuć naszych amerykańskich rodaków. Umysłowość człowieka młodego jest bardziej skłonna do rozstania się z utartymi szablonami pojęć i wyobrażeń i do zgłębienia nowej i nieoczekiwanej rzeczywistości — niż umysłowość ludzi starszych. Z drugiej zaś strony niedostateczne będą zawsze obserwacje poczynione podczas podróży oficjalnej, z natury rzeczy ograniczonej w czasie i przepełnionej przyjęciami i przemowieniami. Artykuł p. Dziulikowskiego daje nam nowe spojrzenie na Polonię amerykańską.

W DZISIEJSZYM okresie zdawania przez cały naród polski egzaminu dojrzałości pytanie, jaką rolę odegra Polonia amerykańska, oceniana optymistycznie na pięć milionów, woła o odpowiedź. I to odpowiedź nie powierzchowną i pochopną, lecz opartą na realnych możliwościach tej wielkiej rzeszy polskiej w Stanach Zjednoczonych.

Odpowiedzi tej nie można formułować na podstawie wyników rekrutacji do Armii Polskiej w Kanadzie. Nie można z góry powiedzieć: Polonia nie dała drugiej Armii Hallera, więc roli swej nie odegrała, zadania nie spełniła, nie wzniosła się proporcjonalnie do swojej liczebności na ołtarze wysiłku narodu polskiego. Nie można jej z góry potępiać. Polonia amerykańska nie jest polską kolonią i o tym trzeba pamiętać. Nasze placówki dyplomatyczno-konsularne, od lat tak się do niej odnoszące, powinny nareszcie zmienić swój pogląd i stosunek do Polaków amerykańskich.

Polacy w Stanach to przede wszystkim pełnoprawnieni i pełnowartościowi obywatele demokracji amerykańskiej. Za najpierwszy swój obowiązek uważają pracę, służbę i wysiłek dla Stanów Zjednoczonych. Polska może się po nich spodziewać jedynie . . . miłości. Tak, uczucia Polonii — oto czego żądać od niej mamy prawo. Niczego więcej! Wszystko ponadto otrzymane od Polonii amerykańskiej — to dary, wspaniałe dary, które dowodzą, że więź z dawną Macierzą jest ciągle silna, że sentyment Polaka amerykańskiego ciągle jeszcze ulatuje do kraju przodków, by serdecznie interesować się jego losem.

Naprawdę, polityką małości nazwałbym radość, gdyby Polonia amerykańska dała nawet kilkanaście tysięcy żołnierza do Armii Polskiej. Cóż znaczy jedna dywizja wojska czy dwie dywizje wobec milionów żołnierzy rzuconych na front?

Od Polonii amerykańskiej spodziewać się należy czegoś więcej. Nie przede wszystkim żołnierza i nie tylko żołnierza, lecz pracy dla Polski w Stanach Zjednoczonych, która daleko więcej znaczy i ciężiej zaważy na szalach dziejowych w dniach układania Sprawiedliwego Pokoju, niż nawet ten jeden więcej bagnet polski zatopiony we krwi wroga czy jeden więcej nieznanzy, przydrożny grób.

Doszliśmy do sedna sprawy. Wyliminowaliśmy kwestię żołnierza polskiego z Ameryki, jako bynajmniej nie najważniejszą, by przedstawić to, co już Polonia dla Polski zrobiła, co robi i robić nadal będzie.

Jako dość ściśle z Polonią zżyty, pracujący wśród niej i dla niej w prasie polsko-amerykańskiej i organizacjach tamtejszych mogę z dużą dokładnością oceniać nastroje Polonii, kierunek jej pracy i działalności dla Polski. I znów: obrazu nie będzie mi przesłaniać akcja wysyłki odzieży i paczek żywnościowych dla jeńców polskich w obozach niemieckich, dla internowanych Polaków w Szwajcarii, w Hiszpanii, dla zesłańców w Rosji Sowieckiej, czy gdziekolwiek indziej się znajdujących męczenników i tułaczy. Są to sprawy mimo wszystko nie najważniejsze, choć bardzo ważne, świadczące pięknie o uczu-

ciach Polonii amerykańskiej, ale jeszcze nie wiele i nie wszystko mówiące o męskim odnoszeniu się do sprawy polskiej. Jako potwierdzenie tych słów przypomnę znaną z prasy wiadomość, że każdy jeńiec brytyjski w Niemczech odbiera co tydzień jedną pięcioletnią paczkę z żywnością i odzieżą, wysyłaną mu z Anglii. Konia z rządem dam, jeżeli podobnie postępują Niemcy. Dlaczego? Bo Niemcy dobrze wiedzą, że jeńiec niemiecki w Anglii nie tylko z głodu nie umrze, lecz nawet mu zdrowia nie ubędzie . . .

Ten przykład z różnym traktowaniem jeńców ukazuje wyraźnie dwa światy:

jeden, ośmielę się nazwać po imieniu, przesadnie ludzki i drugi — nieludzki. Który jednak sprzyja bardziej prowadzeniu wojny? Dotychczasowe "osiągnięcia" alianckie zdają się wskazywać, że niestety dotąd jedna tylko strona walczy nie przebijając w środkach, a druga ciągle jeszcze tkwi w sferze marzeń i w ułudzie humanitarności . . .

Polonia amerykańska zasilając odzieżą i żywnością rodaków naszych w niewoli i na zesłaniu, daje co prawda nie tylko wyraz swoim uczuciom, ale równocześnie robi coś więcej, niż n.p. brytyjski Czerwony Krzyż dla Brytyjczyków w Niemczech. Naród nasz bowiem jest bardziej zagrożony głodem, zimnem i nędzą, niż naród brytyjski. I ta działalność jednak nie wyczerpuje jeszcze, i wyczerpywać nie może, zadań naszej Polonii amerykańskiej wobec Starego Kraju.

Polonia amerykańska nie jest jednak już narodem zupełnie takim samym jak Polacy w Polsce. Składający się na nią polscy Amerykanie, urodzeni w Stanach Zjednoczonych, tam wzrosli i wychowani, nabrali nowych cech, dziwnych nieraz i niezrozumiałych dla rodaków z Polski. Gdybyśmy porównali kategorie ich myślenia, okazało by się, o ile syn Polonii amerykańskiej różni się od Polaka w Europie. Że jest on bardziej zmaterjalizowany, mniej idealistyczny, bardziej rzeczowy i na chłodno odnoszący się do zjawisk i wydarzeń. Przystawiający słomiany ogień Polaka nie jest znany młodemu Amerykaninowi. Polakowi wychowanemu w Polsce, który następnie pojedzie do Stanów, trudno żyć się z nowymi warunkami, trudno dogadać się z Polonią. I odwrotnie: emigrant powracający do Macierzy? Czy czuł się dobrze? Czy zastał w niej to do czego wrócił — bo kochał — powolne jego "amerykanizacyjnemu" działaniu? A przecież chciał on podnieść stopę życiową, chciał przeszczepić dobrobyt i szczęśliwość amerykańską do Polski. Chciał byznesem zainteresować współrodaków, chciał "prosperity" . . .

Ileż poznałem w Stanach Polaków, którzy powtórnie powrócili z Polski do Ameryki, przywoząc spory bagaż żalu do Macierzy, że w niej nic nie dało się zrobić, że grunt tam był mu nie tylko obcy, ale wprost wrogi, że palił mu stopy. Że jego spojrzenie na świat, szersze o cały nowopoznany kontynent, napotykało na gruby, nie do przeniknięcia, mur małomiasteczkowego zacofania Ojczyzny!

Nie chcę wydawać bezapelacyjnych wyroków, nie mniej ów po raz który emigrujący do Ameryki Polak budzi głębokie współczucie. Pamiętajmy, że był to zwykle już człowiek w starszym wieku, który szkował się, by za lat niewiele złożyć kości w rodzinnej ziemi. I naczóż mu przyszło? Musiał wracać . . . Wracać, by życie zacząć od nowa . . .

To jednak jest tragedia!

Wrześniowa gehenna Polski przybiła amerykańską Polonię, pogrążając ją najpierw w beznadziejnej rozpacz, po której (chytra propaganda niemiecka nie próżnowała!) nastąpił okres zupełnego zniechęcenia i obojętności, omal że odwracania się od własnej przeszłości i wstydu, że się ma coś wspólnego z narodem, który tak prędko uległ przemocy.

Był to okres naprawdę smutny i niebudujący, ale psychologicznie wytłumaczalny. Może, może upaść na duchu człowiek,

którego przygniecie ciężar większy, niż jest w stanie unieść. Polonia żyła jak w malignie, której nie zdołały rozprószyć nawet świetlane przykłady bohaterstwa narodu polskiego, wykazane w dniach kampanii wrześniowej. Dopiero z upadkiem Francji następuje pewne przebudzenie. Rodzi się pytanie: no tak, Polska została pokonana, ale dlaczego i Francja legła, na kolana padła służalczo? Takie potężne państwo? Dziwy, dziwy!

Dopiero wówczas zaczęto uświadamiać sobie, jak wielką siłą niszczącą są hitlerowskie Niemcy. Dopiero wówczas! A dalsze niemieckie postępy, dalsze wypadki — to nowe dowody, nowe wstrząsy wewnętrzne dla Polonii, ostatecznie ją budzące. Nadchodzi czas, gdy dojrzeła sprawa możliwości tworzenia Armii Polskiej w Kanadzie, do której to myśli chętnie przychyła się Polonia, chce tę Armię tworzyć, tylko zdaje się, że niewłaściwie zabrano się do dzieła. Zdolnościami organizacyjnymi nigdy nie grzeszyliśmy i tym więc razem tej naszej narodowej wadzie — nie Polonii! — przypiszmy niepowodzenie.

Zaczął się też okres intensywnej zbiórki odzieży, składek na uchodźców, pakowania paczek i ich wysyłania. Tym zajęły się, i dotąd z równą energią i zapałem zajmują się, nasze rodaczki z za Oceanu.

Powróćmy jednak do właściwego wątku. Stwierdziliśmy, że daleko ważniejsze dla sprawy polskiej jest prowadzenie przez Polonię akcji uświadamiającej ogół amerykański o Polsce, że również bardzo ważne są zabiegi Polonii o własne dobro i znaczenie. O urzędników, o kierowników życia politycznego Stanów, muszą nasi rodacy tam walczyć, i o ile wywalczą życzliwych dla siebie, a jeszcze lepiej — jeżeli swoich wprowadzą na urzędy, można być spokojnym i pewnym, że nie dojdą już do głosu ludzie tego pokroju co Lloyd George lub Borah, którzy łaskawie godzili się na **końcowy** punkt Warunków Pokoju, mówiący ogólnikowo o "Polsce niepodległej z dostępem do morza."

Polityka polska powinna postawić sobie za zadanie przy pomocy Polonii amerykańskiej, że **pierwszy** punkt programu pokojowego powinien brzmieć: "Polska wielka i silna na lądzie, morzu i w powietrzu jest warunkiem trwałego pokoju w Europie." I jeżeli nikt się temu w Ameryce nie sprzeciwi, to dopiero będzie osiągnięcie prawdziwie wielkie, za które wdzięczność będzie składała Macierz amerykańskiej Polonii.

Leży to zupełnie w granicach możliwości. Jakżesz żywo jeszcze stoi mi przed oczyma ostatnia kampania prezydencka, w której prezydent Roosevelt, czyniąc wyłom w tradycji, ubiegał się o swoje stanowisko poraz trzeci z rzędu. I wygrał . . . dzięki Polonii, która głosowała zwarcie i jednolicie. Do budek wyborczych szli wszyscy. Chorych dowożono,

starzy, młodzi . . . szli. Szli, bo wiedzieli, że kują tym samym jaśniejszą przyszłość Polsce.

Wie Roosevelt, że jęczyciem u wagi jego zwycięstwa były **głosy Polonii** i pamiętając o nich wydał swoje ostatnie orędzie do narodu polskiego, które nie może być poczytane za taką zwykłą sobie polityczną odczepkę. Przypadło ono w czasach zbyt ważnych, przełomowych, by o rzeczach małych można było myśleć. Stany Zjednoczone już były w wojnie, już Pearl Harbour płonął

Orędzie to powinno być rozumiane jako oparcie się Prezydenta w tych ciężkich chwilach na pracującej masie polskiej, jako jednej z najliczebniejszych i pewnej. Innymi słowy, Roosevelt wyniósł na wyżyny najwartościowszego odłamu społeczeństwa amerykańskiego Polonię, Polaków, którzy — jeżeli pominiemy wcześniejsze czasy Kościuszki i Pułaskiego — od około stu lat wstecz zaczęli napływać do Stanów Zjednoczonych, by trudem fizycznym, znojem, potem i bólem krzyży zgiętych w ciężkiej pracy — budować dzisiejszą wielkość tego kraju.

Teraz właśnie, jak nigdy, idzie przez Polonię dreszcz dumy i wysiłków w pomijanych dotąd i niedocenianych dziedzinach życia. W ostatnich dwu latach intensywnie wre praca polityczna, która daje doskonałe wyniki. Więcej już mamy przedstawicieli polskiego pochodzenia w Kongresie w Waszyngtonie, więcej w kapitolach stanowych, więcej w zarządach miast.

Ten nowy duch, ożywiający Polonię, ów obcy jej dotąd wysiłek, by mieć znaczenie także w życiu politycznym Stanów, by wpływać bezpośrednio na kształtowanie ich oblicza, jest właśnie czynnikiem, który sprawi, że przyszła Polska będzie miała w Stanach Zjednoczonych gorącego przyjaciela i obrońcę.

Kładkę, a raczej gigantyczny pomost, rzucony poprzez Ocean Atlantycki, by dwie najżywoźniejsze demokracje mogły sobie podać ręce — zbudował zbiorowy wysiłek Polonii amerykańskiej której nie wolno już nam traktować jako kolonii, krzywić się, że nie daje dość żołnierza, ani też na nią "psioczyć", że intelektualnie nisko stoi, że nie jest zdolna zachłystywać się — co byle pensjonarka w Polsce potrafi — urokiem literatury, poezji, teatru . . .

Przyjdzie i na to czas.

Na razie faktem jest, że w poprzedniej wojnie Polonia amerykańska udziałem w polskim wysiłku zbrojnym zapisała złotą kartę swej historii i że teraz pisze nową kartę. Trzeba ażeby zarówno przedstawiciele Starego Kraju jak też i kierownicy Polonii zrozumieli dokładnie, jakie są wołania nowych czasów i nowych okoliczności.

Henryk W. Dziulikowski.

EUROPA ŚRODKOWA — OŚRODKIEM POKOJU

O EUROPIE Środkowej mówi się dziś bardzo wiele. Był czas, nie tak znów dawno temu, kiedy się o niej mówiło bardzo mało. Skąd taka kariera tego pojęcia politycznego?

Kolebką cywilizacji europejskiej były, jak wiadomo, południowe i zachodnie brzegi kontynentu, południowe w starożytności, zaś zachodnie poprzez okres średniowiecza. Kultura śródziemnomorsko-rzymska zdobywała sobie coraz dalsze terytoria ku wschodowi, i w ten sposób t. zw. zachód europejski posuwał się coraz dalej. Posuwał się jakby przeskokami, a to ze względu na zachłanność kulturtraegerstwa germańskiego, którego Polska nie chciała, sięgając wprost, ponad głowami Niemców, do źródeł romańskich.

Równocześnie, poprzez wczesny okres średniowiecza, szedł pochód kultury śródziemnomorsko-bizantyńskiej w kierunku odwrotnym, od wschodu na zachód. Linia kresowa tego zasięgu wschodnio-rzymskiego pokrywała się mniej więcej z graniczną linią prawosławia.

Wśród tego wszystkiego, bardzo długo, gdzieś głęboko w XIX-y wiek nie było jakoś miejsca, ni widocznie zapotrzebowania, dla terminu politycznego "Europa Środkowa." Termin ten rozpowszechnia się dopiero dość późno gdzieś na przełomie XIX i XX wieku. Narzuca się on jako kulturalna zasłona dla niemieckiego Lebensraumu ("Mitteleuropa") a też — pochodnie — jako aura swoistej reakcji przeciw niemieckiemu imperializmowi u narodów zagrożonych nim, a mieszkających między Dunajem, Wisłą i Dniestrem.

Pojęcie to jest więc dość świeże i historycznie dość nieokreślone. Daleko łatwiej zdefiniować je geograficznie, niż politycznie a nawet geo-politycznie. Zawiera w sobie zakres szeroki, a co za tym idzie treść niedostatecznie jasną, w której miejsce jest na wiele narodowych sprzeczności, waśni i kłopotów. Stąd pewna niewątpliwa choć tajona wyższość, z jaką "Europę Środkową" traktowało się na skrajnym zachodzie francuskim czy angielskim. Zwłaszcza jeśli idzie o percepcję

francuską, epitet "środkowo-europejski" oznaczał coś mało konkretnego, płynnego, niebudzącego zaufania, "unreliable" mówiąc z angielska. Zaznaczmy odrazu, że te nieufności znikają w odniesieniu do poszczególnych narodów, tworzących "środek" europejski, a zjawiały się w stosunku do owego kompleksu grupowego.

Polacy czuli, że swej strony daleko żywiej łączność swą cywilizacyjną z dalekim światem romańskim i z sąsiednimi kulturami czeską i węgierską, aniżeli właśnie z ową Europą Środkową. Można zaryzykować twierdzenie, że pojęcie to w szerokiej świadomości polskiej nie nabyło nigdy prawa obywatelstwa: Polska czuła się zachodnią, bo była na samej rubieży obcej sobie wyznaniowo i cywilizacyjnie wschodniej Rusi. Pewne cechy tej zachodniości, dzięki właśnie temu położeniu kresowemu, były nawet w Polsce przesadnie podkreślane i silniej zaznaczane niżli nawet na samym zachodzie. Ale miejsca na "środkowość" europejską w polskiej świadomości nie było.

Obecnie, pod naporem konieczności politycznych, Europa Środkowa jest na porządku dziennym. Dobrze się więc stało, że Dr Tadeusz Piszczkowski poświęcił jej osobną broszurę, starając się zebrać skrzętnie wszelkie rumieje, któreby temu pojęciu życia przydać mogły.¹

Autor zdaje sobie wcale dobrze sprawę z tego, iż "wspólnota," jak ją nazywa, środkowo-europejska nie jest czymś zupełnie jasnym i całkowicie samozrozumiałym. Owszem, stara się ją czytelnikowi udostępnić i wytłumaczyć. Czyni zaś to tak usilnie, z takim nakładem pomysłowości i nieledwo przywiązania do swej teorii, że widocznie natrafiało to na pewne trudności. Wyjaśnienie jest miejscami raczej zawile. "Europa Środkowa, czytamy, jest jednością geograficzną i kulturalną. Nie posiada wprawdzie wyraźnych granic naturalnych," a więc jednak jednością geograficzną nie jest. Jest nią o tyle właśnie, że nią nie jest: "Charakterystyczną cechą Europy Środkowej, jest jej przejściowość geograficzna" między Europą Zachodnią i Południową, a Eurazją.

Duży nacisk natomiast kładzie p. Piszczkowski na kulturalną wspólnotę środkowo-europejską tę więc właśnie łączność, której w Polsce bodaj dobrze nie czujemy. Między Czechem, Węgrem, Austriakiem i Polakiem — panuje wspólnota kulturalna większa, jeśli autorowi naszemu wierzyć, niż między jakimkolwiek z tych narodów, a narodami zachodniej Europy. Czyż istotnie? Warto się temu przyjrzeć.

Główną cechą, właściwie jedyną zauważoną przez autora, tej kultury środkowo-europejskiej jest jej "miękkosć," więc "miękkosć słowiańska" — u Polaków, "Gemuetlichkeit" — u Austriaków itp. "W gruncie rzeczy, czytamy, ta "miękkosć" oznacza uprzejmość, ludzkość, przystępność dla szlachetniejszych uczuć — i możnaby ją lepiej wyrazić łacińskim słowem "civilitas."

Typową przedstawicielką tej aury była, mimo swych wad i sprzeniewierzeń się — habsburska Austria! "Wprawdzie powstała jako placówka" pangermanizmu" — z czasem na tle swego położenia geograficznego, u dróg cywilizacji rzymskiej, wytworzyła typ kultury uniwersalistycznej, stając się w środkowej Europie raczej przedstawicielką sprawy katolickiej, niż niemieckich aspiracji narodowych."

Za taką pochwałę Austrii uzyskałby Piszczkowski niewątpliwie aplauz i Maurrasa i Haleckiego. Naszym zdaniem mieści się w takim przedstawieniu monarchii habsbursko-austriackiej duży błąd perspektywy historycznej. Austria była tragicznym nieporozumieniem dziejowym z chwilą, kiedy przestała być wyłączną przedstawicielką wielko-niemieckich aspiracji a nie zgodziła się, bo się zgodzić nie mogła, na swój własny austro-niemiecki zaścianek. Nie mogła zadowolić nikogo: ani Niemców, którzy poszli za pruską siłą, jakiej Austria nie posiadała, ani poszczególnych innych swych "ludów," których do końca wolała "narodami" nie nazywać. Zato austriacka monarchia miała swój własny, nieco humorystyczny, imperializm, za mało poważny, by się ostać przed naporem prusko-niemieckim, a zbyt dotkliwy, by nie być zniechęconym przez narody słowiańskie i mniejszości łacińskie, włoską i rumuńską. Austria, powiada nasz autor, była "właściwie misją nie narodem," gorzej, poprawmy, była "właściwie imperializmem dynasty-

cznym, a nie narodem" . . . Stąd jej słabość i nierealność. Jeśli już przyjąć istnienie austriackiego narodu, mógł on żyć w 10-milionowym narodowym państewku, nie mógł żyć w luksusie austriackiego imperializmu. Zaiste można się zastanowić, czy aby owa przysłowiowa "Gemuetlichkeit," stanowiąca główną środkowo-europejską cechę, nie była jedynie owocem słabości, i kruchości tego państwa. Wszak gdy tylko miała pozory siły, Austria pozwałała sobie odrazu na "Gemuetlichkeit" Metternicha, Kufsteinu i roku czterdziestego szóstego . . .

Dość długo przystanęliśmy nad tym zagadnieniem, bo autor przywiązuje doń wagę zbyt wielką. Mówi np.: "Z polskiego punktu widzenia ważne jest pamiętać, że mitem jak dotąd jest wspólnota kulturalna ogólnosłowiańska, podobnie jak mitem jest taka wspólnota ogólnogermańska. Mamy natomiast, obok wspólnoty łacińskiej, anglosaskiej, również wspólnotę kulturalną środkowo-europejską, która nie jest mitem."

Mamy co do takiego ujęcia poważne zastrzeżenia. Nie sądzimy — niestety — by kulturalna wspólnota ogólnoniemiecka była dzisiaj mitem, i w żaden sposób nie czujemy, byśmy Austrii a nawet Węgrom byli bliżsi, niż wszystkim Słowianom, a nawet Rusi. Nie trzeba chyba tłumaczyć na łamach tego pisma, co nas dzieli z Rosją, jakie mamy z nią porachunki. Niemniej tam gdzie, nawet w tej Rosji, dochodzą do głosu jej pierwiastki słowiańskie, budzi się w nas dla nich echo napewno wierniejsze niż dla Wiednia czy Linzu. Nawet walce Straussa są nam dalsze — i płytsze — niż muzyka Czajkowskiego i sztuka Tolstoja. A cóż dopiero gdyby zapytać Czechów? Czy istotnie opowiedzieliby się raczej za Wiedniem niż za Moskwą? Nie wiem nawet czy by się opowiedzieli za Warszawą . . .

Korektywę należy tu wprowadzić taką, iż to co jest wspólnego między Polakiem, Czechem, Węgrem i Austriakiem, jest prostopu zachodnio-europejskim, a nie czymś specjalnie środkowo-europejskim.

Wniosek zaś wyprowadzimy z tego taki, iż nie należy konieczności współdziałania politycznego opierać na niejasnym poczuciu wspólnoty kulturalnej. Tak postępując poddaje się — niechcący — w wątpliwość samą właśnie konieczność politycznej współpracy. Konieczność zaś tę uważamy za nieuchronną.

Jeśli idzie bowiem o samą polityczną koncepcję Dr Piszczkowskiego — nie zgłaszamy zastrzeżeń. Tak, podstawą związku konfederacyjnego powinny być nie tylko, jak dotąd, Polska i Czechosłowacja, ale Polska, Czechosłowacja, Litwa, Węgry, i zapewne Rumunia, choć nasze z nią przymierze zawiodło, i nie wiadomo czy nie należy ona raczej do zasięgu związku bałkańskiego. Godzimy się też najpełniej z sformułowaniem autora: "Powinien to być związek państw niepodległych, suwerennych, ponieważ zachowanie niepodległości jest punktem wyjścia współpracy." Tak, właśnie tak. Tak bowiem jak człowiek nie może wyrzec się swej duszy — może ją tylko conajwyżej diabłu zaprzędać — tak i naród nie może wyrzec się swej suwerenności. Nie przeszkadza to oczywiście ani trochę zawieraniu umów międzynarodowych o najszerszym wachlarzu.

Zastrzeżenie drugie zgłosić musimy co do miejsca jakie autor przewiduje w przyszłej Europie dla Francji i polsko-francuskiego przymierza. Jego zdaniem trzeba nam się obejrzeć w przyszłości za czymś lepszym np. właśnie za środkowo-europejską wspólnotą.

Francuska rzeczywistość jest dziś wcale skomplikowana. "Myśl Polska" od samego początku swego istnienia stale poświęcała Francji sporo troski i uwagi. Tak i dziś, oczywiście, i to z biegiem czasu i wojny, coraz więcej. Oto jak się problemat francuski przedstawia p. Piszczkowskiemu:

"Jeżeli chodzi o Francję pamiętać trzeba, że przestała ona być tym mocarstwem, jakim była w 1919 r., i że w układzie powojennych stosunków nie będzie już ona — na pewien czas przynajmniej — mocarstwem" o interesach nieograniczonych." Najprawdopodobniej interesy Francji będą silniej niż dotąd związane z mocarstwami Atlantyku, i z basenem Śródziemnomorskim — i wobec tego przestanie się ona interesować sprawami środkowej i wschodniej Europy w tym stopniu w jakim to czyniła po tamtej wojnie światowej. Jeżeli żywiła ona kiedykolwiek swoje ambicje "hegemonii" na kontynencie europejskim, obecnie będzie musiała z tych ambicji zrezygnować."

¹ "Polska a Nowa Europa. Uwagi o polityce zagranicznej Polski". Londyn 1942. Tytuł jest tu szerszy, ale część główną swych rozważań poświęca autor zagadnieniom Europy Środkowej.

Czy to wszystko jest naprawdę takie pewne? Czy aby nie jest trochę zawcześnie, by o tych perspektywach przesądzać?

Naprawdę groźną zmianę dla stanowiska Francji w świecie mogłoby stanowić dopiero obecne jej okrojenie i ograniczenie jej interesów do basenu śródziemnomorskiego, to znaczy odcięcie od Atlantyku. Z chwilą gdy się przewiduje — słusznie — jej istnienie jako mocarstwa atlantyckiego, przywraca się jej za jednym zamachem stanowisko na kontynencie europejskim: posiadanie wspianiałego czworoboku francuskiego (quadrilatère français) z szerokim oknem śródziemnomorskim i z nieporównanym belwederem atlantyckim, — uniemożliwia nieobecność w polityce kontynentu europejskiego. Wiem dobrze, że takie wycofanie się Francji z kontynentu śniło się i śni pewnym wygodnym i bardzo niedojrzałym politykom francuskim. Że jest to czcze urojenie — świadczy wiekowa, od czasów Richelieu' go jako dogmat przestrzegana linia polityki francuskiej: istnienie jakiegokolwiek bariery europejskiej, idącej od północy na południe — nazwijmy ją po dzisiejszemu osią — od Bałtyku więc po Morze Śródziemne, było, jest i będzie dla Francji nie do zniesienia. Stąd wypływa jej antagonizm do Hiszpanii Karola V, do Austrii z Lombardią i Wenecją, do Prus wreszcie Fryderyka, Bismarcka i Wilhelma.

Jedno tylko jest w całej pełni prawdziwe w cytowanym ujęciu autora: na **hegemonię** francuską w Europie miejsca nie będzie, tylko że tę hegemonię wogóle trzeba między bajki włożyć i policzyć na karb fatalnych strachów polityki angielskiej z okresu Lloyd'a George'a. Hegemonia taka byłaby zresztą dla interesów polskich szkodliwa, gdyż uniemożliwiałaby aktywny udział Polski w przymierzu. Wręcz przeciwnie, czasowe kłopoty, a nawet osłabienie Francji — trudno go nie prze-

widywać, — mogą Polsce przysporzyć wagi i pozwolić na odegranie doniosłej roli pełnowartościowego alianta.

Wogóle, jeżeli idzie o przyszłość europejskiego zachodu trzeba sięgnąć i szerzej i głębiej. Jeśli się już operuje szerokimi blokami i rzutami politycznymi, przewidując związki państwowe, środkowo-europejski i bałkański, trudno nie przewidywać bloku łacińskiego. W bloku tym Francji przypadnie rola ogromna. Dobre, bliskie, tradycyjne węzły nasze z Francją nie tylko nie przeszkodzą w krystalizacji środka europejskiego, ale wręcz przeciwnie warować będą temu procesowi warunki rozwoju i wbudowania, wpisania w europejską równowagę.

Jak z powyższego wynika wadzimy się z p. Piszczkowskim, nie waśnić się. Rzecz się ma tak, iż godzimy się bez zastrzeżeń na most jaki autor przerzuca ku przyszłości Europy, a jedynie podważamy oba filary, ma których buduje: a więc wspólnotę kulturalną środkowo-europejską oraz nieobecność mocarstwowej Francji. Filary te zastępujemy dwoma innymi: potężnym związkiem łacińskim, pod przewodnictwem Francji, oraz takim blokiem środkowo-europejskim, w którym Polska zajęłaby miejsce wynikające z jej potencjału ludzkiego, wojskowego i kulturalnego. Blok ten uważamy za konieczność polityczną, dla całej Europy środkowo-wschodniej.¹

Junius

1) Jedna już tylko uwaga innej sprawy dotycząca. Pisze autor: "Trudno przesądzać w tej chwili stanowisko Łotwy i Estonii, jak długo nie wiemy czy formy federacyjnego powojennego związku rosyjskiego nie będą dla nich bardziej atrakcyjne." Czy p. Piszczkowski wierzy poważnie w to, co tu napisał?

NOTY I UWAGI

HORYZONT WOJENNY

Z wydarzeń wojennych najwięcej zajmują miejsca w prasie bieżącej i w opinii publicznej nowe działania na froncie sowieckim. W dniu 8 maja 1942 Niemcy, przy użyciu również posiłkowych oddziałów rumuńskich, uderzyli na sowieckie stanowiska na półwyspie Kercz. W parę dni później wojska sowieckie uderzyły na dość szerokim froncie (mówią o odcinku około 50 mil szerokości) w rejonie Charkowa. Pomimo rozgłosu w prasie i propagandzie radiowej obu stron, nie są te działania jeszcze ofensywami i mogą nimi nie być. Są to działania lokalne — jak dotąd; piszemy te słowa w dniu 17 maja — i nie mające ze sobą zapewne żadnego bezpośredniego związku. Oczywiście mogą one być działaniami próbnymi i przygotowawczymi dla przyszłych ofensyw, ale też mogą mieć znaczenie przede wszystkim **polityczne**.

Z punktu widzenia wojskowego opanowanie półwyspu Kercz może być przygotowaniem sobie podstaw wyjściowych do działań na Kaukaz, które to działania jednakże musiałyby być połączone z akcją unieszkodliwiająca flotę sowiecką na Morzu Czarnym oraz z drugą akcją — lądową — na szerokim froncie środkowym i południowym w Sowietach w celu sparaliżowania ewentualnej ofensywy rosyjskiej na skrzydła. Nie jest to więc jeszcze sama właściwa ofensywa. Natomiast podszeptywane ze Stockholmu doniesienia o 4-5 krotnie większej ilości samolotów, niż ta której Niemcy naprawdę tam użyli, oraz doniesienia z Turcji o nowej fali propagandy niemieckiej ofiarującej Turkom nabytki na Kaukazie — pozwalają na wnioskowanie, iż Niemcom chodzi **także** o przygotowanie nowych posunięć dyplomatycznych, z którymi zwykli łączyć działania wojenne w większym stylu. W tym świetle wydarzeń wszelka **realizacja dyplomatyczna odrębnych sowieckich celów wojennych** mogła by okazać się dla Narodów Zjednoczonych posunięciem samobójczym. Turcja bowiem może rozumować, że Niemcy są zbyt odległe, by zagrozić państwu tureckiej, że natomiast Rosja, szukająca nowych ciągle ubezpieczeń strategicznych, może się stać sąsiadem, ze strony którego możliwe są zawsze niespodzianki w najwyższym stopniu nieprzyjemne.

Uderzenie Timoszenki na Charków ma zapewne pod względem wojennym znaczenie "prowokacyjne": niech Niemcy podciągną rezerwy i przeciwuderzą. Wyjaśni to ogólne położenie strategiczne i zgodne będzie z doktryną strategii sowieckiej,

którą zdaje się być przyjmowanie natarć na kierunkach przygotowanych. Politycznie zaś taka półofensywa w najwyższym stopniu jest pomocna taktyce propagandowej i dyplomatycznej Stalina, która ma na celu utworzenie w Europie "drugiego frontu".

Ogólnie sytuacja w ten sposób w Europie się przedstawia, że Niemcy są bardziej osłabione, niż się to o nich przypuszczało i że ich planem na najbliższą metę może być jeszcze pewien okres pracy organizacyjnej i produkcyjnej wewnętrznej — przy liczeniu, że dalsze powodzenia japońskie przygotują mocarstwa anglosaskie do myśli o pokoju negocjowanym. Wiemy tutaj, że jest to niemożliwe, ale niezapominajmy, iż Niemcy — w świetle oświadczenia Churchilla, iż straciły więcej niż dwa miliony zabitych w swoich najlepszych rocznikach — mogą nie mieć wiele dróg do wyboru. Rok bez takich ciężkich strat, jakie mieli w 1941 r., wzmocniłby ich niesłychanie, naturalnie jeżeliby wytrzymali pod innymi względami.

Z wojny na Pacyfiku najważniejszym wydarzeniem jest klęska straży przedniej floty japońskiej na Morzu Koralowym. To osadzenie w miejscu Japończyków może stać się momentem zwrotnym w wojnie na Pacyfiku. Mocarstwa anglosaskie zyskały znacznie na czasie, by dokonać przegrupowań i nowych ugrupowań strategicznych (Madagaskar), ubezpieczają komunikacje, przesuwać transporty, organizują punkty oporu i bazy dla przyszłych działań zaczepnych. Najważniejszą i najpomyślniejszą cechą kampanii na Dalekim Wschodzie jest fakt, że Amerykanie biją się znakomicie. Jeden z polskich wyższych wojskowych zapytany w tej sprawie, odpowiedział mi: biją się dobrze m.i. dlatego, że biją się sprzętem, a nie gołymi rękami, a to jest dziś jednym z zasadniczych czynników powodzenia.

Niespodzianki w tej wojnie możliwe są jeszcze w dalszym ciągu, choć ilość ich zmniejszyła się proporcjonalnie do ilości państw wciągniętych w wojnę. Oprócz Turcji uwagę trzeba zwracać na Francję, gdzie jednakże możliwości kłopotliwych zdaje się mniejsze, niż się to powszechnie przypuszcza, — oraz na Amerykę Południową. Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych p. Henry Wallace oświadczył niedawno, że liczyć się należy nawet z próbą powstania niemieckich osadników w Ameryce Południowej — przy współdziałaniu jakichś specjalnych jednostek lotniczych niemieckich, czynnych z Dakaru.

SPRAWA "DRUGIEGO FRONTU".

W poprzednim i niniejszym n-rze "Myśli Polskiej" cytujemy głosy prasy angielskiej, krytyczne wobec wystąpienia ambasadorów i ministrów sprzymierzonych, lecz cudzoziemskich, nawołujących Wielką Brytanię do utworzenia "drugiego frontu". Dla nas wystąpienia te nie wszystkie są jednakowe. Musimy np. inaczej traktować wystąpienia premiera Sikorskiego, inaczej zaś ambasadora sowieckiego w Stanach Zjednoczonych p. Litwinowa.

Wystąpienia tego ostatniego są dla nas całkowicie zrozumiałe gdyż są zgodne z polityką rządu, który on reprezentuje. Polityka ta wyraża się nie tylko w samym postulacie — który jest zupełnie jasny i usprawiedliwiony; Sowiety życzą sobie jak największego odciążenia własnego frontu — ale i w formie, w jakiej postulat jest stawiany. Wiadomo, że metodą polityki sowieckiej jest odwoływanie się nie tylko do rządów, ale i bezpośrednio do mas ludności danego kraju. Jeżeli ambasador przychodzi do ministra i powiada: rząd mój sugeruje — prosi, życzy sobie — utworzenie jeszcze jednego frontu — jest to zgodne z tradycyjną metodą stosunków międzynarodowych; jeżeli natomiast ambasador przemawia w tym samym duchu wprost do ludności; czy to na zebraniu publicznym czy w wywiadzie prasowym, to mamy tu do czynienia z objawem zupełnie nowym i dotąd niespotykanym. Notujemy ten objaw, ale go nie oceniamy, ponieważ dotyczy on tylko Sowietów i Wielkiej Brytanii oraz Stanów Zjednoczonych.

Wystąpienia natomiast naszego premiera są już sprawą bezpośrednio nas dotyczącą. I tu jest sprawa bardziej skomplikowana. Nie ulega wątpliwości że jest obowiązkiem polskich czynników politycznych i wojskowych współdziałać w wytworzeniu takiej doktryny prowadzenia tej wojny, która by czas jej trwania wydatnie skróciła. Jest to nasz obowiązek wobec kraju, którego cierpienia powinniśmy się starać skrócić jak najbardziej. Więc jeżeli czynniki kierownicze mocarstw anglosaskich układają wojnę na długie jeszcze lata, **jest obowiązkiem naszych czynników wyciągać wszelkie możliwe rzeczowe argumenty za utworzeniem planów wojny krótszej.**

Jeżeli jednak wychodząc z takiego założenia mówi się o "drugim froncie", to trzeba uważać, czy to jest ściśle. Bo określenie "drugi front" zawiera w sobie domniemanie, że tylko wojska sowieckie się biją. Nie jest to ściśle, ani w czasie ani w przestrzeni. W czasie — pierwszy był front polski, w przestrzeni — obok frontu w Sowietach istnieją jeszcze fronty w Libii, w Burmie (dziś już na pograniczu indyjskim), na Nowej Gwincei i w ogóle w rejonie Pacyfiku, chwilowo na Madagaskarze i t.p. — oraz w powietrzu nad Niemcami i atlantyckim pasem krajów okupowanych i na samym Atlantyku. Nigdzie na tych frontach nie ma sił zbrojnych sowieckich i nikt im tego nie wyrzuci, ale też niesłuszne są tezy o "pierwszym froncie" i "drugim froncie".

Więc jeżeli czynniki polskie mówią o "drugim froncie", mogą być posądzane o brak zrozumienia rzeczywistości. Sprawa bardzo delikatna.

To samo dotyczy formy wystąpień: wywiadów prasowych. Premier czy ambasador na zupełnie **inne drogi** wyrażenia życzeń czy zapartywań. Jest to droga wprost do rządów czy dowództw naczelnych, a nie droga do opinii publicznej, do której mogą i powinny natomiast trafiać czynniki naszej opinii. Pomijamy tu ocenę drogi prasowej z punktu widzenia dotychczasowych metod przyjętych w dyplomacji. Wnioski zaś polityczne wewnętrzne mogą być takie, iż wystąpienia owe są nie tylko dowodem troski danego męża stanu o sprawę jego kraju, lecz i dowodem płonności jego dotychczasowej polityki — skoro mu już nic innego nie pozostało. Dotyczy to zarówno sprawy "drugiego frontu", jak i postulatu wspólnego Sojuszniczego Sztabu Generalnego. Kiedy ten postulat zamieściliśmy w grudniu ub. roku w artykule w "Myśli Polskiej", artykuł został przez Ministra Informacji skonfiskowany. Nie twierdzimy bynajmniej, że w tym artykule był tylko ten postulat, ale sądzimy, iż wolno nam podać **dziś**, że domagaliśmy się **wtedy** m.i. polityki prowadzącej do udziału polskiego w kierownictwie wojskowym prowadzenia wojny.

Oczywiście, premier może odwoływać się do opinii, ale do swojej własnej, polskiej opinii. Dlatego też zupełnie właściwe by było, gdyby premier nasz nie śpieszył się być z wykładaniem publicznym swoich postulatów i czekał aż do swojej ostatniej mowy w Radzie Narodowej. Dopiero z tej mowy mogła i po-

winna była dowiedzieć się prasa cudzoziemska o poglądach naszego Rządu. Nawiasem powiedziawszy, takie traktowanie Rady Narodowej, która pod tym względem znalazła się na drugim miejscu po dziennikarzach zagranicznych, świadczy najlepiej o znaczeniu, jakie Rząd przywiązuje do tej instytucji przez siebie powołanej.

ŚWIAT I EUROPA

P. Anthony Eden, brytyjski Sekretarz Stanu dla Spraw Zagranicznych, wygłosił w dniu 8 maja 1942 przemówienie w Edynburgu, w którym oświadczył, że Wielka Brytania nie będzie mogła na przyszłość unikać odpowiedzialności za pokój w świecie. Oczywiście, odpowiedzialność tę Wielka Brytania dzielić będzie "z innymi narodami świata", musi jednak pamiętać, że świat się znacznie "skurczył" w ostatnich czasach i jeszcze bardziej się skurczy. "Pokój — mówił min. Eden — to więcej niż granice i traktaty pokojowe. Musi być w nim również siła i wola. Lecz pokój to jeszcze coś więcej, niż siła. Nigdy nie będziemy mieli pokoju na tej ziemi, dopóki nie będziemy mieli systemu ekonomicznego, w którym mężczyźni i kobiety chętni do pracy będą mieli możliwość pracowania i otrzymywania wynagrodzenia za swój trud".

"Wynika z tego pierwszy zasadniczy postulat — mówił dalej min. Eden. Narody Zjednoczone razem muszą posiadać wystarczającą siłę dla celów policyjnych: w celu zapobieżenia rozbojom na gościach i położenia tamy sukcesom metod gangsterskich. Celem naszym jest taki stan spraw, w którym **cztery wielkie mocarstwa światowe reprezentowane przez Brytyjską Wspólnotę Narodów, Stany Zjednoczone Ameryki, Związek Socjalistycznych Sowietkich Republik i Chiny, razem podtrzymywać będą ten system pokoju.** W pokoju szukać one będą pomocy u innych pokój miłujących krajów, tak jak czynią to obecnie w wojnie. Lecz na nie przede wszystkim spaść musi główny ciężar utrzymania pokoju i główna odpowiedzialność za gospodarczą odbudowę świata po wojnie."

W ciekawej tej swojej mowie min. Eden całkowicie pominął problemy wewnętrzne europejskie, które dziś jeszcze mają większą wagę gatunkową, niż by to wynikało z ich charakteru problemów jednego tylko kontynentu. Ważna tedy rola w utrzymaniu pokoju przypaść musi i europejskim, niedocenianym dzisiaj, t. zw. narodom mniejszym.

OKRUCIEŃSTWA NIEMIECKIE I DYPLMACJA SOWIECKA

KOMISARZ Spraw Zagranicznych Związku Sowietkiego p. Mołotow rozesłał drugą z kolei notę o okrucieństwach niemieckich popełnianych na ludności Związku Sowietkiego. Nota skierowana jest — podobnie jak poprzednia — do wszystkich rządów, z którymi Związek Sowietki utrzymuje stosunki dyplomatyczne. Znaczną część tego dokumentu ogłosiła w Londynie Sunday Dispatch z dnia 3 maja 1942. O katuszach i torturach zadawanych ofiarom przez oficerów i żołnierzy niemieckich czyta się ze wstrętem i oburzeniem. Zdarzały się wypadki polewania uwięzionych Rosjan wodą tak, iż zamazali w sople lodu. Ale jeszcze może bardziej wymowny jest rozkaz niemieckiego Naczelnego Dowództwa, zatytułowany: "O traktowaniu nieprzyjacielskiej ludności cywilnej i jeńców wojennych." Rozkaz ten ustala obowiązek oficerów stosowania "metod bezwzględnych" wobec ludności cywilnej i nakazuje "używanie przemocy wobec całej masy ludnościowej."

Ta metoda w okrucieństwie jest najbardziej przerażająca. Świadczy ona, że mamy tu do czynienia nie z nadużyciami soldateski, ale z najbardziej okrutnym programem p a n i s t w a i n a r o d u, jaki znają dzieje.

Nie mniej jednak nie możemy zamykać oczu i tym razem na metody dyplomacji sowieckiej, która i z takiej sposobności korzysta, by miejscowości leżące na terytorium Rzeczypospolitej wymienić jednym tchem z miejscowościami leżącymi na terytorium sowieckim. Tym razem chodzi o miasto Pińsk, które określone jest jako miasto w Białej Rusi razem z Witebskiem i Mińskiem. Czy chodzi o stwarzanie precedensów, że publicznie stwierdzano przynależność danych miejscowości do Z.S.S.R. i że nie spotykano się z zastrzeżeniami? Pociągałoby to za sobą konieczność odpowiedniej akcji dyplomatycznej polskiej

“PELNA JEDNOŚĆ NARODOWA”

Przemówienie rocznicowe premiera Sikorskiego w dniu 3 Maja w Londynie wyróżniało się od przemówień jego przy innych sposobnościach. Premier wysunął na czas powrotu do Kraju hasło “pełnej jedności narodowej, którą stworzą wszystkie wielkie prądy ideowo-polityczne”. Jest to hasło całkowicie słuszne, tylko nie da się ono zrealizować na poczekaniu w Polsce, jeżeli przez cały czas działalności na emigracji nadal robić się będzie wszystko, by do tej “pełnej jedności narodowej” nie doszło.

Na wyróżnienie zasługuje też przemówienie trzeciomajowe amb. Racyńskiego w angielskim programie B.B.C., w którym ambasador słusznie przypomniał, że “w ciągu trzech stuleci poprzedzających uchwałę majową, Rzeczpospolita Polska istniała jako **demokracja parlamentarna** wśród państw opanowanych **wojowniczym imperializmem**.”

Przypomnienie bardzo na czasie, skoro wydaje się wielu, że Polska ma się na obcych wzorować i od nich zapożyczać. Polska ma swoje własne złe i dobre doświadczenia ustrojowe, z których może czerpać, by je w nowych warunkach, w jakich się znajduje po wojnie, rozważnie zastosować.

PRZYJACIÓŁKA POLSKI

Czasopisma doniosły, że przed paru tygodniami wyjechał do Szwajcarii nowy przedstawiciel Wielkiej Brytanii w Bernie, minister pełnomocny Clifford Norton, b. pierwszy radca i chargee d'affaires ambasady brytyjskiej w Warszawie w 1938 i 1939 roku. Razem z nim wyjechała jego małżonka pani Noel Norton. Oboje państwo Norton zdobyli sobie jak najgłębsze sympatie polskie. W latach 1940 i 1941 pani Norton poświęciła swoje wysiłki pracy świetlicowej dla żołnierzy polskich w Wielkiej Brytanii, ale dziś chcielibyśmy wspomnieć szczególnie przemówienie, które pani Noel Norton wygłosiła w kwietniu b.r. do słuchaczy w Polsce. Zwróciło ono ogólną uwagę swą serdecznością. Nie powinno też przeminąć w pamięci Polaków razem z falami eteru.

“Kraju Waszego nie zapomina się nigdy — mówiła pani Norton. — Dlatego rozumiem tęsknotę tych wszystkich Polaków, którzy tu u nas w Anglii goszczą. Rozumiem żołnierzy, marynarzy i lotników polskich . . . ponieważ żyję od dwóch lat stale w łączności z nimi. I wiem jak cierpią, jak tęsknią za krajem . . . Żołnierzy, lotników i marynarzy polskich walczących o wolność już nie tylko waszą, ale świata całego . . .”

W przemówieniu swoim pani Norton wygłosiła z wiarą poglądy, że zbliża się już dzień zwycięstwa i tryumfu Imperium Brytyjskiego i Polski.

Notujemy te słowa tutaj dla przyszłości, gdyż współcześni Polacy i tak nie zapomną tych prostych słów przyjaźni i nadziei.

CENZURA I KONFISKATY

Liczne białe plamy w ostatnich numerach “Myśli Polskiej” zwróciły uwagę innych polskich publicystów i wydawnictw. Zasadnicze uwagi sprawom cenzury poświęcił na tym tle red. Stanisław Mackiewicz w ostatniej swojej broszurze “Czarnym atramentem”. Uwagi te przedrukowały “Wiadomości Polskie” solidaryzując się widocznie z wywodami Mackiewicza, iż “**cenzura prewencyjna Ministerstwa Informacji nie opiera się na żadnym prawie**”. “Wiadomości Polskie” zresztą mają swoje własne doświadczenia z cenzurą, którym poświęcił niedawno cały artykuł red. Nowakowski. Natomiast osobliwe stanowisko w sprawie cenzury zajmuje tygodnik “Robotnik Polski”, który chce i “diengi nażył” i niewinność sochranit.” Bo “Robotnik Polski” narzeka, że mu Minister Informacji zakazuje pisać o pewnej sprawie, i równocześnie popiera rząd właśnie “w tej sprawie”. Chodzi wedle słów “Robotnika” o “**najistotniejsze dla Polski zagadnienie aktualne**”. “Nie wyrażaliśmy i nie wyrażamy — pisał “Robotnik” — żadnych wątpliwości co do słuszności i celowości polityki rządu w tej sprawie, a minister, który zmusza do milczenia pismo, godząc się w omawianej sprawie z polityką rządu, jest niewątpliwie objawem zupełnie wyjątkowym”.

Rzeczywiście jest to objaw zupełnie wyjątkowy. “Myśl Polska” bowiem wyraża bardzo mocno wątpliwości co do słuszności i celowości polityki Rządu “w tej sprawie”, a “Robotnik” nie — i pomimo to pisać mu zakazano. Wniosek stąd może być tylko jeden: że polityka Rządu “w tej sprawie” nie znosi nie tylko krytyki, ale i publicznego poparcia. Ważne

jest też jednak z drugiej strony, że socjaliści nie wyrażają “żadnych wątpliwości co do słuszności i celowości polityki rządu”. Wobec takiego oświadczenia chodzi tylko o spór domowy, bo ostatecznie minister socjalistyczny w Rządzie stoi na tym samym stanowisku, co minister informacji. Więc poco tyle hałasu o nic?

A JEDNAK CZARNE NIE JEST BIAŁE . . .

Jeden z najwybitniejszych dialektyków w polskim dziennikarstwie współczesnym, p. St. St., oddał swój talent na usługi sprawie, której obronić się nie da, choćby p. St. St. stawał na głowie. Ostatnio p. St. St. w szermierce słownej z Mackiewiczem oświadczył w “Dzienniku Polskim”:

“Zapamiętajcie sobie, że jeżeli p. Mackiewicz znowu wam napisze kiedyś, że układ z 30 lipca 1941 był katastrofalny i spowodował zakwestionowanie naszych granic, możecie się śmiać z tego”.

P. Mackiewicz jest zbyt wybitnym publicystą, żeby potrzebował naszej pomocy. Zwłaszcza w polemice Mackiewicz jest prawdziwym harcownikiem kresowym publicystyki polskiej i umie parować cięcia i je zadawać. Wiele nas z Mackiewiczem różniło w przeszłości, niejedno zapewne dzieli i dzisiaj, ale mimo to zawsze przyznamy rację Mackiewiczowi wtedy, kiedy słuszność jest po jego stronie. Zwłaszcza, że dotąd atakowano Mackiewicza jakby na zamówienie, a dzisiaj rusza w szranki sam St. St.

Otóż nie zamierzamy dzisiaj poruszać samego meritum sprawy, zależy nam natomiast na wskazaniu, że p. St. St. wcale tego nie udowodnił, co sobie udowodnić założył, że gdyby więc czytelnicy “Dziennika Polskiego” skorzystali z łaskawego pozwolenia, to jakiś nowy gogolowski “gorodniczy” mógłby na nich zgola nie teatralnie huknąć: z kogoż wy śmiejecie się, ot wy i z samych siebie śmiejecie się . . .

P. St. St. wyłuskuje więc z wywodów Mackiewicza najpierw twierdzenie, iż Mackiewicz nigdy nie twierdził, jakoby w pakcie z 30 lipca 1941 Rząd polski zrzekł się jakichkolwiek terytoriów na rzecz Związku Sowieckiego. **Istotnie, Mackiewicz nigdy czegoś podobnego nie twierdził.**

Następnie p. St. St. cytuje Mackiewicza, iż pakt z 30 lipca 1941 “spowodował zakwestionowanie naszych granic”. **Istotnie, Mackiewicz to twierdzi.**

I teraz z dwu tych sądów p. St. St. wysnuwa wniosek, jak wyżej, t. zn. że czytelnicy Dziennika Polskiego mogą się śmiać z zakwestionowania granic Polski w związku z zawarciem paktu z 30 lipca 1941 . . .

Nie wchodzimy już w to, czy naprawdę sytuacja wynika z takiego zakwestionowania jest aż taka śmieszna, idzie nam tylko o to, jak traktuje swoich czytelników tak wybitny dziennikarz i pisarz, jak p. St. St. Cytuje dwa sądy Mackiewicza i twierdzi, że są one sprzeczne, a więc że śmiać się z nich należy, tymczasem tej sprzeczności wcale nie widać.

Twierdzenie pierwsze: Rząd nie zrzekł się niczego w pakcie.

Twierdzenie drugie: Zawarcie paktu powoduje zakwestionowanie granic.

Gdzie tu jest sprzeczność??

Czy p. St. St. nie rozumie różnicy treści pojęć “zrzeczenie się” i “dopuszczenie do zakwestionowania”? Nie są to pojęcia bynajmniej pokrywające się!!

Nie chcemy tu wdawać się w dalsze wyjaśnienie panu St. St. rzeczy tak prostych, które on zresztą doskonale rozumie, tylko mu się zdaje, że dialektyką można nadrobić braki merytoryczne w dyskusji. Pod tym względem przypomina mi on bardzo jednego z wyższych dygnitarzy obecnego rządu, który zwykł tak mówić:

“Co, Pan narzeka na artykuł w “Prawdzie” moskiewskiej? Ja Panu zaraz wyjaśnię, jak te rzeczy rozumie “Prawda” . . .

Odpowiadam na to: Kiedy proszę Pana, Pan nie może interpretować **autentycznie** “Prawdy”. Ja doskonale rozumiem “Prawdę”. Komentarzy bliższych mogłoby udzielić tylko sami redaktorzy “Prawdy”.

“Kiedy ja Panu wyjaśnię . . .”

I dialektyka w kółko od początku . . .

“But what sort of people he thinks we are?”

Za kogoż on bierze czytelników “Dziennika Polskiego”?

Bo i ja jestem czytelnikiem — przymusowym — tego Dziennika . . .

Franciszek Kędzierski

“WRACAMY NAD ODRE”

O ZIEMIACH leżących na północy i zachodzie od granic Rzeczypospolitej zarówno przedrozbiorowej jak i w roku 1918 odbudowanej, nie wiele na ogół w Polsce wiedziano i mówiono. Nie znaczy to, by temat ten był zupełnie w myślowym dorobku Polski pominięty. Cały szereg najwybitniejszych naszych badaczy pracował nad tym zagadnieniem od lat niemal stu, zaś znaczna już poprzednio ilość prac i studiów z historii Śląska, Nadodrza, Pomorza i Prus Wschodnich wzrasta niepomiaralnie po odzyskaniu niepodległości. Szczególnie owocną była tu praca instytutów Śląskiego i Bałtyckiego. Instytucje te publikowały wiele monografii historycznych i wydawały cały szereg czasopism dziejom i znaczeniu tych ziem poświęconych. Mimo ożywionej pracy uczonych wyniki ich badań do publicznej wiadomości na ogół nie przenikały. Do ostatnich czasów recenzje były nieliczne i drukowane w pismach raczej specjalnych typu “Kwartalnika Historycznego” czy “Nowej Książki.” Nie przypominam sobie, bym je zbyt często spotykał np. w “Wiadomościach Literackich” lub “Prosto z Mostu,” a jeśli nawet znajdowały się tam czasami, to rezonansu wśród czytelników nie znajdowały. Długo głucho było na ten temat w dyskusjach wśród inteligencji polskiej. Sądzę, że przyczyną tego stanu rzeczy szukać należy w przebiegu dziejów naszych w ciągu ostatnich lat stu pięćdziesięciu — w braku niepodległości.

Lecz nawet, gdy znikła przyczyna, nie od razu znikły jej skutki. Sprawa zrozumienia i odczucia ważności, bliskości i, że się tak wyrażę, swojskości ziem północno-zachodnich wymagała czasu i zaryzykuje twierdzenie, że w ciągu ostatnich lat dwudziestu niespostrzeżenie dojrzała w opinii publicznej. Pamiętam, że w ciągu ostatnich kilku lat przedwojennych więcej się mówiło w Polsce o naszych do zachodniego sąsiada pretensjach, a zwłaszcza o Prusach Wschodnich, o ich zarówno aktualnej roli politycznej i strategicznej, jak o ich dziejach i ludności. A jeśli ukazała się książka Wańkowicza o mazurskim Smętku, to pomysł jej nie wyskoczył jak Minerwa z głowy Jowisza. Pobudką do jej napisania była niewątpliwie atmosfera otaczająca autora, a nadzwyczajne wprost powodzenie, jakie sobie historia Smętka zdobyła, świadczy niewątpliwie jak dalece temat odpowiadał zainteresowaniom ogółu. Nie jest też przypadkiem, że “Ziemia gromadzi prochy” jest dziełem redaktora poznańskiej “Tęczy,” że została wydana przez największe w Wielkopolsce zakłady graficzne i że wysiłkiem szeregu wielkopolskich artystów otrzymała tak wykwintną szatę graficzną. I ta książka nie została czytelnikom narzucona, powstała bowiem na skutek dążeń i odczuć narodu.

Wojna obecna zniszczyła wszystkie polskie instytucje naukowe, uniemożliwiła pracę badawczą prawie wszystkim uczonym naszym, lecz raz postawionego zagadnienia z życia naszego nie usunęła. Raczej przeciwnie postawiła nam przed oczyma, w czasie pokoju niedocenianą, absurdalność strategiczną naszych granic i otworzyła nam możliwości ich rewizji usprawiedliwionej zarówno względami strategicznymi, jak historycznymi; zarówno prawem do obrony przed przesładowaniem żyjących w granicach Rzeszy Polaków, jak prawem upomnienia się o tych naszych słowiańskich pobratymców, których już wróg omal wynarodowił.

Kraj na ten temat niestety milczeć musi, choć jak o tym świadczy prasa tajna¹, milczenie swe czasem przerywa. Emigracji milczeć nie wolno. Musimy wyteżyć wszystkie siły, by sprawę ziem zachodnich postawić przed oczyma własnego społeczeństwa i sprzymierzeńców. Trzeba przynajmniej, że z obowiązku swego emigracja wywiązuje się w miarę sił i środków zadawalająco. Biuletyn Zachodnio-Słowiański, broszura prof. T. Sulimirskiego² i reedycja Kisielewskiego — to obok mniejszych artykułów, obok dyskusyj i odczytów, wcale pokaźny dotychczasowy dorobek.³

Ostatnio dorobek ten został wzbogacony niezwykle cenną pracą Antoniego Błońskiego pt. “Wracamy nad Odrę.”⁴ Autor postawił sobie za zadanie dać pełną syntezę zagadnienia w formie, w jakiej ono dzisiaj stoi przed społeczeństwem,

a więc przedstawił dzieje ziem zachodnich, jak i ich naturalny, z ziemiami Rzeczypospolitej, geograficzny związek, jak wreszcie stosunki ludnościowe w perspektywie dziejów i w chwili obecnej.

Książka Błońskiego właściwie nie odkrywa nam nowego rewelacyjnego faktu historycznego, ale oparta na znanych już dawniej pracach uczonych polskich, niemieckich i angielskich, w całości swojej jest jednak dla czytelnika jedną wielką rewelacją.

Każdy z nas wie dobrze, co znaczy nazwa Wrocław, Szczecin czy Rugia, wielu z nas otrzymało listy ze stemplem pocztowym “Berlin-Nowawes,” każdy za grosze mógł nabyć mapę automobilową wschodnich Niemiec i odczytać tam długi szereg polskich nazw geograficznych. Każdy mógł i każdy spotykał te ślady słowiańskości, lecz wywoływały one najwyżej zdziwienie. — Zrucone przez Błońskiego przykładowo, a zebrane z tak prymitywnych zdawałoby się źródeł, jak mapy samochodowe, nazwy ponad 150 miejscowości z terenu między Łabą a Odrą budzą w czytelniku głębokie refleksje. Refleksje pogłębiają się, gdy czytamy setki nazwisk dzisiejszych “Volksdeutschów” — nazwisk zlekka ziemczonych, bądź nawet dziś zachowujących swe czyste brzmienie słowiańskie.

Wszystko, czego się tylko tkniemy na tej ziemi, tchnie śladami polskości, choć z tej polskości, z prastarych związków tych ziem z macierzą, sprawy sobie nie zdawaliśmy.

Tradycje tych związków trwały po obu stronach granicy aż do czasu rozbiorów i dopiero ta klęska, tradycje i silny dawniej duchowy związek obu połaci tego samego kraju i narodu, nie tyle, może zerwały, co osłabiły. Utrata niepodległości skierowała wszystkie wysiłki narodu do jej odzyskania. Nie czas było myśleć o odległej historii krajów dawniej od pnia głównego oderwanych, gdy trzeba było utrzymać ducha narodowego na terenach znacznie nam uciążliwych i politycznie bliższych. Dziś trzeba wysiłku, by zdać sobie sprawę z tego, że ziemie leżące na zachód od obecnej politycznej naszej granicy, to nie tereny przejściowo od Polski zależne, lecz że Odra stanowiła przez trzy stulecia naszą z Niemcami granicę, i że pierwszy w tej granicy wyłom, zajęcie przez Brandenburczyków ziemi Lubuskiej, to dopiero koniec XIII wieku, to rok 1272, a więc czasy Bolesława Wstydliviego i pierwszych tatarskich najazdów. Przelamywanie tej granicy trwało całe stulecia, aż do połowy XVII wieku, a rządy pruskie na Pomorzu Szczecińskim datują się dopiero od 1720 r., a na Rugii dopiero od 1815.

Oczywiście ludność ziem włączonych kolejno do Prus, mimo setek lat trwającej germanizacji nie została całkowicie stracona i mimo że Bülowowie czy Treskowowie (ze starożytnego rodu książąt słowiańskich pochodzący) oddali niemiłosiernie ogromne nieraz usługi, to jednak ludności posiadającej poczucie swego pochodzenia nie brak. Nie brak jej zwłaszcza na Wielkim Pomorzu i na Ziemi Śląskiej.

Niemożliwością jest cytowanie bardzo starannych i drobiazgowych obliczeń tej ludności, obliczeń, którym Błoński poświęca bardzo dużo czasu, miejsca i pracy. Powiedzmy tylko krótko, że na terenie Rzeszy, według jego obliczeń, przed wojną żyło 7.000.000 ludności pochodzenia słowiańskiego i 3.000.000 bezspornych i świadomych Polaków, czyli że Niemcy zrabowali nam 10.000.000 ludzi. — 1/6 całej ludności Rzeszy powersalskiej winna być Polakami.

Drobne zastrzeżenia odnoszące się do obliczeń ludnościowych są w całości rozpatrywanego przez Błońskiego zagadnienia nieistotne i niczym nie zmieniają słusznych i całkowicie uzasadnionych wniosków zawartych w ostatnim rozdziale tej pozytywnej książki.

Jeśli idzie o konstrukcję pracy, argumentację i styl, to trzeba przyznać, że autor, mimo trudnych warunków, o czym zaznacza w przedmowie, wywiązał się ze swego zadania znakomicie. Książka naukowa, albo o charakterze naukowym

interesuje stosunkowo nieliczne grono czytelników. Aby była dostępna dla szerszego koła czytelników, oprócz pasjonującego tematu, argumentacja i styl odgrywają rolę niepoślednią.

“Wracamy nad Odrę” Błońskiego wszystkim tym warunkom odpowiada. Daje bogaty materiał dowodowy specjalistom i politykom, a jednocześnie, w skutek umiejętnego operowania materiałem źródłowym i dzięki swemu stylowi, czyni książkę dostępną dla ogółu, oraz upowszechnia poznanie Ziemi Zachodnich i potrzebę ich rewindykacji do Polski.

Nie sposób jest omówić w jednym artykule wszystkie przez autora poruszane zagadnienia. Pominąć musimy analizę kapitalnego znaczenia strategicznego Odry i kluczowej pozycji Ziemi Lubuskiej. Pominąć trzeba opis znakomitych polskich fortyfikacji budowanych przez Mieszka i Bolesława Chrobrego, a ciągnących się wałem nieprzerwanym ponad 100 km długim w Bramie Łużyckiej. Nie ma już miejsca na opisy dramatycznych walk książąt i królów polskich z naporem germańskim, na opisy brandenburskich fałszerstw, zdrad i morderstw, które doprowadziły do przeobrażenia małej Starej Marchii (Altmark) w r. 1134 nie sięgającej 10.000 km. kw. w Królestwo Pruskie w r. 1795 liczące 314.685 km. kw. powierzchni.

Wszystkie te kwestie szeroko w pracy Błońskiego omówione i uzasadnione można tu tylko wskazać, po bliższe szczegóły odsyłając do samej pracy.

“Wracamy nad Odrę” Błońskiego, podobnie jak “Ziemia gromadzi prochy” Kisielewskiego, muszą być niezwłocznie tłumaczone na język angielski. Książka Błońskiego tym bardziej zasługuje na udostępnienie tak żmudnie zebranego w niej materiału źródłowego opinii brytyjskiej, że o powyższe informacje brytyjskie czynniki polityczne do nas się zwracają.

Taki apel wystosował pod naszym adresem Kpt. Allan Graham, wybitny polityk i członek Parlamentu.

Kpt. Allan Graham wyraźnie zaznaczył, że nasza propaganda ma duże możliwości, a mimo to mniej daje dobrych informacji niż czeska. Polityk ten stwierdził kilkakrotnie w swych publicznych odczytach, że: “Silna Polska jest warunkiem

bezpieczeństwa W. Brytanii. Aby Polska była silna, musi mieć:”

1. “Wolny i możliwie szeroki dostęp do wolnego Bałtyku. Warunek ten spełniony być może tylko przez przyznanie Polsce władztwa nad Prusami Wschodnimi i Gdańskiem oraz przez umiędzynarodowienie Kanału Kilońskiego.

2. “Granice Zachodnie nad Odrą z tym że wszystkie ziemie na wschód od Odry należeć będą do Polski.

3. “Granice wschodnie te same, co miała w roku 1939.”

“Właśnie te warunki powinny być codziennie wbijane w mózgi ludzi w Anglii i w Szkocji — nie tylko przez waszych ministrów, ale przez każdego Polaka wojskowego czy cywilnego” — mówił kpt. Allan Graham.

Wierzymy, że na wydanie angielskie książki Błońskiego znajdują się pieniądze, a wtedy spełni ona swe zadania, o których mówił wypróbowany przyjaciel Polski, kpt. Allan Graham.

Na zakończenie należy jeszcze podkreślić ogromny materiał źródłowy, nie wiem, jakim cudem zgromadzony w tak trudnych warunkach emigracyjnych studiów.⁵ Bardzo ciekawe reprodukcje dokumentów oraz przekonywujące mapy uzupełniają bogatą treść książki. Szata zewnętrzna nie tylko jak na dzisiejsze wojenne, ale nawet jak na przedwojenne stosunki — luksusowa.

Franciszek Kędziński

1. Szaniec — Tygodnik poświęcony sprawom Polski w niewoli (cyt. w swojej pracy A. Błoński).

2. “Najstarsze dzieje narodu polskiego” — Londyn, 1941.

3. Szkoda, że dorobek ten (jeśli pominąć broszurę prof. Sulimirskiego, wydaną przez Wojsk. Biuro Prop. i Ośw.) opiera się całkowicie na inicjatywie prywatnej. Utrudnia to druk prac z tej dziedziny, gotowych i szukających wydawcy.

4. Antoni Błoński — “Wracamy nad Odrę.” Historyczne, geograficzne i etnograficzne podstawy zachodnich granic Polski. 30 ilustr. w tekście, 5 map w załącznikach. Okładkę projektował M. Walenty-nowicz. — London 1942. Nakładem Przyjaciół. — str. 127, 1 nłb, 5 zał. — cena 6s. s kład Główny, F. Mildner and Sons, 6 Herbal Hill, London, E.C.1.

5. Autor podaje 219 pozycji licząc bibliografię przedmiotu.

Z PRASY I PUBLICYSTYKI

ECHA “DRUGIEGO FRONTU”

Osobliwe widowisko odwoływania się ambasadorów i innych oficjalnych osób zagranicznych do opinii publicznej w sprawie utworzenia “drugiego frontu” spotkało się z następującym echem w tygodniku “The Economist”:

“Mury Jerycha zawałyły się od dęcia w trąby. Bywają (there are) sprzymierzeni ambasadorowie i politycy, którzy wydają się wierzyć, że ich przemówienia — zwrócone, dość osobliwie, do przyjaciół, a nie do wrogów — mogą wyrzucić ten sam skutek na umocnieniach niemieckiej Europy. Mówcy owi, wszyscy reprezentujący oficjalnie Rządu Sprzymierzone, z platform publicznych wołają o drugi front i — jakiegokolwiek były by ich zamiary — wytwarzają wrażenie, iż lewica Zjednoczonych Narodów nie wie, co czyni prawica. W trosce o doprowadzenie Niemców do walki na zachodzie w czasie równoważenia się jeszcze szal w ogromnych zapasach wschodnich — są oni, przyznajemy, echem trosk każdego Anglika — i każdego Rosjanina. Zawoławane jednakże w takich wystąpieniach wnioski, że p. Churchill i Gabinet wojenny nie podzielają tych trosk — są fałszywe i szkodliwe; pogląd, że nie są oni bynajmniej skłonni do wdania się w walkę decydującą przy boku Związku Sowieckiego, jest wytrwale podtrzymywany w zbyt wielu miejscach. Jedyną pociechą jest, że nieprzyjaciel, nie mogąc wymiarkować, czy te dziwaczne odgłosy międlenia (strange sounds of heckling) oznaczają głupotę, przebiegłość czy po prostu rozdwojenie — sam będzie niepewny.” . . .

Artykuł kończy się stwierdzeniem, że występy takie są szkodliwe dla morale społeczeństw po stronie narodów sprzymierzonych, gdyż wytwarzają przekonanie, że społeczeństwa te są zdradzane. Zdradą natomiast byłoby ze strony Rządów przygotować pod taką presją polemiczną — nową, olbrzymią tym razem, Kretę, lub wyprawę Gallipolijską.

Artykuł “The Economist” został zacytowany w całości przez “Sunday Times.”

CO PRZESZKADZA GENERALOWI DE GAULLE

W jednym z majowych numerów Daily Telegraph czytamy ciekawą depeszę z Ameryki, dotyczącą polityki międzyaliantkiej:

“Komitet Narodowy Wolnych Francuzów otrzymał zapewnienia dalszej współpracy amerykańskiej z nim, jako z organizacją wojskową uczestniczącą w wojnie z mocarstwami Osi.

“Ustosunkowanie się Ameryki do Wolnych Francuzów wyjaśnione zostało w konferencjach p. Cordell Hulla z p. Adrianem Tixierem, szefem tutejszej delegacji Wolnych Francuzów. P. Hull zapewnił p. Tixiera o dalszej wojskowej pomocy i współpracy dla wspólnego celu, jakim jest wygranie wojny.

“Jakkolwiek dotąd nie było żadnego formalnego wystąpienia o uznanie Komitetu Narodowego Wolnych Francuzów jako ciała politycznego, Rząd Stanów Zjednoczonych postawił sprawę jasno, że współpraca byłaby utrudniona, gdyby generał de Gaulle stał się

równoczesnym przywódcą politycznym jak i dowódcą wojskowym ruchu Wolnych Francuzów.

“Dyplomatyczne stosunki z Vichy są nadal utrzymywane. Gdyby Rząd z Vichy zezwolił na kontrolę floty francuskiej lub baz francuskich przez Oś, albo gdyby w jakikolwiek inny sposób odstąpił na rzecz Osi od warunków zawieszenia broni, zerwanie stosunków stałoby się nieuniknione.

“Trwa tu nadal wrażenie, iż Komitet Narodowy Wolnych Francuzów nie czyni dotąd pełnego użytku z talentów wszystkich Francuzów, przeciwników nazizmu.”

Innymi słowy korespondent Daily Telegraph informuje, iż w Waszyngtonie mają za złe de Gaulleowi dwie rzeczy: że łączy w sobie najwyższe funkcje wojskowe i polityczne, oraz że nie korzysta z rad i współpracy tych osobistości Trzeciej Republiki, które zawczasu poszukały schronienia w Stanach Zjednoczonych. Zapewne chodzi tu o dziennikarzy Pertinaxa i panią Tabouis, a może nawet i o b. ministra lotnictwa p. Cota. Szczęśliwszy pod tym względem jest szef Rządu polskiego, któremu połączenie funkcji wojskowych i cywilnych zdaje się nie przeszkadzać — może dlatego, że ma sprawy wyregulowane z p. Kotem.

ROZPROMIENIONY DOBROWOLSKI

Przedostatnia Sprawa zamieszcza jedną z najładniejszych rzeczy, jaką podpisany autor (J.R.) w życiu swym napisał. Ze względu na zagadnienie pałace tu poruszone, ustęp ten cytujemy w całości. W Sprawie rzecz ta jest po polsku i po angielsku.

"P. GOODWILL BEAMING JEST przyjacielem moim od lat z górą piętnastu. Poznaliśmy się — gdzieś około roku 1925 — na jednym z międzynarodowych zjazdów studenckich, którym gorliwie poświęcaliśmy czas obaj w okresie naszych studiów uniwersyteckich. Jakże żywo stoi mi przed oczyma ów chłopak jasnowłosy o rumianym, uśmiechniętym obliczu — zawsze pogodny, serdeczny dla wszystkich, promieniejący nastrojami życzliwości i pojednania. Pamiętam, iż wystarczyło, by gdzieś w szatni czy na korytarzu poczuli spierać się np. Macedończyk z Albańczykiem, wnet jak spod ziemi wyrastał Goodwill Beaming, by obu stronom zaproponować przyjazne rozjemstwo.

"Były to czasy właśnie, gdy po raz pierwszy po wojnie, Niemcy, wejmarskie jeszcze i rządzone przez socjalistów i Stresemanna, poczęły stawiać żądania rewizjonistyczne, przede wszystkim domagając się Gdańska i polskiego Pomorza. Goodwill Beaming, zakłopotany, ale pełen otuchy, usiłował przekonać mnie, tłumacząc w sposób jak najbardziej wymowny:

"— Wszystko da się załatwić, jeżeli wy, Polacy, okażecie zrozumienie żądań niemieckich, i dobrą wolę. Uznaję oczywiście, że takie państwo jak Polska musi posiadać własne porty morskie i wybrzeże, ale czemuż, u licha upieracie się tak dziecinnie przy "korytarzu" pomorskim i przy Gdańsku? Zrzeknijcie się ich, pod warunkiem że wzamian dostaniecie szerszy jeszcze "korytarz" przez Litwę, że do Polski włączy się porty w Rydze i Lipawie, a zamiast Wisłą, handel międzynarodowy skieruje się do ujścia Dżwiny . . .

"Przed paru tygodniami odwiedziłem znów Goodwill'a Beaming'a — po kilkunastu latach nie widzenia. Jest teraz niezłe zarabiającym, zażywającym agentem handlowym w City. Przyjął mnie — z gościnną wylewnością — w przytulnym, własnym domku na Mill Hill. Na kominku wesoło trzaskał ogień, na dywanie bawilo się śliczne, dziesięcioletnie dziewczątka, Ethel, którą Goodwill Beaming z dumą ojcowską przedstawił mi jako swą jedynaczkę. Rozmowa szybko zesłała na aktualne tematy polityczne:

"— Wszystko da się załatwić — zapewniał z zapałem Goodwill Beaming, jeżeli Polacy okażą zrozumienie potrzeb Rosji i zdecydują się na jakieś rozsądne ustępstwa na Wschodzie. Oczywiście, nie może to nastąpić bez rekompensat. Ale przecież na zachód od dawnej granicy z Rzeszą, wszystko stanie przed wami otworem. Ja, osobiście — szepnął z uśmiechem, klepiąc mnie porozumiewawczo po kolanie — nie miałbym nic nawet przeciwko przyłączeniu do Polski Berlina . . .

"— Ale ja miałbym! — przerwałem tonem zniercierpliwionym dalszy wywód mojego gospodarza. — Bo widzisz: ojczyzna — jętem tłumaczyć jak najprościej — jest czymś, co ma określone miejsce w przestrzeni, nie można przesunąć jej tam i z powrotem na mapie, jakby to był suwak na przyrządzie do matematycznych obliczeń. Nie chodzi nam o to by posiadać państwo o powierzchni tylu a tylu akrów, z takim a takim zasobem bogactw przyrodzonych, ale o to, żeby — odbudować Polskę. Czy ty byś zgodził się, gdyby ci wzięto Ethel, a wzamian za to dano inną dziewczynkę dziesięcioletnią, mającą tyleż calów wysokości i tyleż samo funtów ważącą? Zastanów się, stary, zacny kolego i przyjacielu . . ."

ECHA ZAMORSKIE NASZYCH TRUDNOŚCI DYPLOMATYCZNYCH

Amerykańskie i kanadyjskie gazety w języku polskim dochodzą do Londynu ze zrozumiałym opóźnieniem, przynoszą jednak mimo to materiał ciekawy i warty zanotowania, choćby tylko dla celów historycznych. Na szczere uznanie i serdeczne podziękowanie zasługują czujność i troska, z jaką nasi rodacy z tamtej strony Oceanu traktują wszystkie sprawy polskie. Zanotujemy tu wystąpienie tygodnika "Gazeta Polska" w Winniepegu z dnia 18 marca, tuż przed przyjazdem generała Sikors-

kiego do Waszyngtonu. Po przytoczeniu znanych Czytelnikom prasy polskiej w Londynie informacji o rozmowach prowadzonych na początku marca b.r. w Londynie przez premiera Churchilla z generałem Sikorskim i o konferencji u min. Edena — "Gazeta Polska" tak dalej pisze:

"Ogólnie wierzą, że premier Sikorski będzie zabiegał o uzyskanie jasnego stanowiska Stanów Zjednoczonych do sprawy powojennych granic przyszłej Polski.

Sprawa powyższa była jedną z tych, które zmusiły amerykańskiego ambasadora do Anglii Johna H. Winanta, do wyjazdu z wizytą do Stanów Zjednoczonych.

"Czego Polacy obawiają się najbardziej to tego, że po wojnie Polska może będzie opuszczona i będzie musiała sama w pojedynkę targować się z bogatą, potężną i zwycięską Rosją.

"W związku z tym interesująca rzeczą będzie przypomnieć, że kiedy generał Sikorski bawił w Moskwie, premier Stalin usiłował wszcząć rozmowę na temat przyszłych granic, ale generał Sikorski przypomniawszy mu o umowie, że sprawa ta ma być załatwiona po wojnie i Stalin się na to zgodził.

"Wkrótce jednak, władze sowieckie odebrały paszporty kilku polskim obywatelom, pochodzącym z tych części Polski, do których Rosja rości pretensję i odesłały rządowi polskiemu w Londynie, jakby z uwagą, że ci ludzie są w rzeczywistości obywatelami sowieckiej Rosji.

"Jakkolwiek nie było żadnego publicznego oświadczenia o obawach Polaków, to jednak kilka artykułów w londyńskich gazetach, traktujących o powojennych planach Rosji, musiało poruszyć Polaków do żywego.

"Z artykułów tych przebijają, iż Rosja ma pretensje do tych wszystkich ziem, jakie zajęła po ugodzie z Hitlerem i które dzierżyła do czerwca 1941 roku, czyli do uderzenia Hitlera na Rosję."

A CO ROBI MIN. STROŃSKI?

Pisma polskie w Stanach Zjednoczonych A.P. i Kanadzie zamieściły w marcu 1942 następujący komunikat biura waszyngtońskiego Fundacji Pułaskiego:

"Pisma niemieckie i ukraińskie, wychodzące w Stanach Zjednoczonych, od roku już zajmują się sprawą przyszłych granic Polski na wschodzie i na zachodzie. Nie rozpatrują tego tylko między sobą, lecz zdołały już zainteresować czynniki, które w tych sprawach będą miały głos decydujący.

"Wedle zdobytych informacji przez biuro waszyngtońskie Fundacji Pułaskiego, stolica tego kraju jest sporadycznie zalewana "źródłowymi informacjami," które jawnie działają przeciwko zabiegom rządu polskiego w Londynie. I przyznać trzeba, że opinie te często oddziaływały z wysokim powodzeniem, wręcz tragicznym dla interesów Polski. W wielu kołach amerykańskich zaczynają wierzyć w wersję, że Małopolska Wschodnia z Luowem i Białorusią z Wilnem są ziemiami ukraińskimi, które Rosja słusznie uważa za integralną część Ukraińskiej Republiki Radzieckiej mającej po wojnie uzyskać całkowitą niepodległość za staraniem Aliantów.

"Z drugiej strony Ukraińcy amerykańscy znajdują wiele serca w Ameryce na rzecz wolności Ukrainy i sprawa ich dobrze jest postawiona w Washingtonie. Aczkolwiek rozumieją tu wszyscy, że nie pora w tej chwili poruszać otwarcie zagadnienia oderwania Ukrainy od Rosji ze względu na konieczność zachowania w Rosjanach wiary, że walczą o integralną całość swych ziem, to jednak w różnych kołach stolicy przygotowane są już plany, ażeby wolność Ukrainy wytargować od Rosji po szczęśliwym zakończeniu wojny z Hitlerem, Ukrainy oczywiście także i kosztem niemal połowy Polski.

"Ukraińcy amerykańscy, obok wysyłania broszur wszelkiego rodzaju do wybitnych Amerykanów wzięli na siebie obowiązek kupowania książek, nieraz w cenie \$4.00 sztuka, omawiających przychylnie sprawę wolności i granic Ukrainy, i wysyłają je czolowym Amerykanom. Każdy ukraiński robotnik wzięł na siebie obowiązek dwu takich książek (wydatek \$8.00) i wysłania wskazanym przez komitet osobom. Można

sobie wyobrazić, ilu ludzi już te książki otrzymało, przeczytało je i uwierzyło od okładki do okładki.

"Jak dalece niebezpieczna dla słodko uśpionych Polaków amerykańskich jest działalność ukraińska w Ameryce, niechaj świadczy fakt, że w parlamencie kanadyjskim jest i działa ukraiński poseł Anton Hlinka, który zabiera głos w sprawach granic przyszłej wolnej Ukrainy i domaga się uznania tych granic przez Kanadę. A wytknięte przez niego granice włączają całą "Zachodnią Ukrainę" — "nazywaną tak że" Małopolską Wschodnią ze Lwowem, Brześciem, Stanisławowem itd.

"Amerykańskie pisma ukraińskie jak "Narodne Słowo," "Nasz Stiah," "Narodna Wola" i inne, po przytoczeniu całego przemówienia Hlinki w kanadyjskiej Izbie Gmin, dodały taki komentarz:

"Za taki występ wdzięczny jest posłowi Antonowi Hlinkce cały naród ukraiński, wdzięczny jest również Kanadzie i jej rządowi. Niepodległej i zjednoczonej Ukrainy potrzeba nie tylko dla Ukraińców, ale i dla sprawiedliwości, dla pokoju i dla dobra całego świata."

"Odbitki przemówienia tego w języku angielskim są jeszcze dziś wysyłane w wielkich ilościach przez Ukraińców do wszystkich dygnitarzy, wybitności i uczonych amerykańskich. Prasa ukraińska ponadto otwarcie wzywa amerykańskich ukraińców do pisania w tej sprawie, sprawie wolności Ukrainy, do wszystkich kongresmanów w Washingtonie.

CZYNNI SĄ RÓWNIEMŻ NIEMCY

"Detroit Abendpost" oraz niemieckie dzienniki chicagoskie i milwauckie w rubrykach "Postnachrichten aus der alten Heimat" wzywają swych czytelników, obywateli Stanów Zjednoczonych, do wysyłania listów z tłumaczeniami z niemieckich gazet, broszur i książek, naświetlających na korzyść Niemiec sprawę przyszłej granicy polsko-niemieckiej.

"Ostatnio ukazał się w tych dziennikach artykuł p.t. "Oberschlesien im Schmelztiegel," który, po historycznych wywodach mających na celu udowodnienie niemieckości polskiego Górnego Śląska, występuje gwałtownie przeciwko Polsce i stwierdza, że po zakończonej już zwycięsko wojnie polsko-niemieckiej, nie ma już żadnej siły, która wątpiłaby w słuszność żądań niemieckich odnośnie do Śląska i która pozwoliłaby wątpić o tym innym, gdyż z "politycznego punktu widzenia długa wojna o Górny Śląsk została już definitywnie zakończona."

"Literatura w języku angielskim, naświetlająca sprawę polskiego Śląska w powyższym duchu wysyłana jest masowo do Washingtonu i do wszystkich uniwersytetów amerykańskich przez amerykańskich obywateli niemieckiego pochodzenia, nie czekających aż rząd niemiecki będzie mógł sam urzędowo tego rodzaju kampanię przeprowadzić."

Tyle biuletyn Fundacji Pułaskiego. Tekstom powyższym dałmy tytuł: "Co robi min. Stroński?" jest to bowiem ta osoba, do której te sprawy należą z urzędu. Otóż jesteśmy najgłębiej przekonani, że w tych sprawach min. Stroński — wedle naszych wymagań, jemu stawianych — nic nie robi, albo tylko bardzo niewiele. W Londynie wyniki działalności min. Strońskiego można obserwować przynajmniej w ilości białych plam w "Myśli Polskiej." Oczywiście nie twierdzimy bynajmniej, że to wyczerpuje działalność min. Strońskiego, w każdym jednak razie troska o prawowierność "Myśli Polskiej" zajmuje prof. Stronkiemu stanowczo za wiele jego ministerialnej energii. Min. Stroński będzie kiedyś zdawał sprawę w Polsce, dlaczego do chwili wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej nie zdołał w Londynie opublikować dokumentów odnoszących się do okupacji sowieckiej w Polsce. Zdaje się, że min. Stroński będzie odpowiadał i za stan naszej informacji w Ameryce. Jest znamienne, że min. Stroński do tej pory nie był jeszcze w Ameryce. Koledzy jego z Gabinetu powinni jednak pamiętać, że o ile za bieżące sprawy odpowiada dany resortowy minister, o tyle za kierunki pracy i za główne wyniki w każdym dziale odpowiadają wszyscy członkowie Gabinetu.

Oto tekst listu:
 "Do redaktora "Dziennika Polskiego"
 Panie Redaktorze,
 Proszę o zamieszczenie w swym piśmie
 kilku poniższych zdań:

Zaniedbaniem na dużą miarę jest to, że do tej chwili wszystkie polskie biura propagandowe, razem wzięwszy, nie potrafiły rozwiązać w publicystyce angielskiej problemu terminologii geograficznej zachodnich ziem Polski i wschodnich ziem dotychczasowej Rzeszy niemieckiej. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że cała wiedza o Polsce docierała do zachodnich pracowni naukowych przez żarna niemieckich przeróbek. W ten sposób zadomowiły się w Anglii również i polskie nazwy geograficzne w wersji i transkrypcji niemieckiej. Ale dwuletni czas naszego bytowania w Anglii mógł być na to przynajmniej użyty, żeby ten fałszem podsztyty zwyczaj mógł zostać w drukach naszego sojusznika zmieniony. Sądzę, że tu kurtuazyjna i nic nie kosztująca koncesja nie byłaby znowu tak trudna do uzyskania. Tymczasem nie tylko tego nie zrobiono, ale jeszcze w naszych własnych oficjalnych drukach propagandowych przyjęło się pomyłkę zwyczaju angielskiego. Pisze się więc w tych drukach "Danzig", "Pommern", "Schneidemühl" i t.d. Nieopisana furia trzęsie człowiekiem, kiedy musi to czytać. Ale to osobna sprawa, za którą trzeba będzie kiedyś komu należy słony wystawić rachunek.

Do Pana mam pretensję o to, że Pan pozbawia naszych lotników zrozumiałej satysfakcji bombardowania fabryk niemieckich w — Rostoce. Pan to miasto uparcie nazywa Rostock. Myślę z goryczą o tym, że nie po to wielu ludzi w Polsce zapłaciło za swe naukowe zainteresowania cierpieniem i śmiercią, żeby jakiś Pański współpracownik łupał uparcie przez kilka dni z rzędu tłustym drukem niemieckie wykoślawienie Rostoki. A może Pan sądzi, że taka naturalna okazja powiadomienia Anglików, iż niemieckie fabryki w tym okręgu zbudowane zostały na siedzibach słowiańskich, jest w tej chwili — niekonjunkturalna, nieaktualna i nietaktyczna? Czy naprawdę nawet tego nie można? . . . Podpisuję ten list inicjałami, dla Pańskiej wiadomości — nazwiskiem.

Z głębokim poważaniem
 Z. G. P.

(Od Redaktora M.P. List publicysty podpisującego się inicjałami Z.G.P., który ma bardzo wiele do powiedzenia w sprawie ziem zachodnio-polskich i słowiańskich, budzi refleksje pełne goryczy pod adresem "trustu mózgow", który uwił sobie miejsce w polskim Ministerstwie Informacji. "Myśl Polska" zwróciła uwagę na zagadnienie germanizacji nazw polskich w terminologii używanej przez Anglików jeszcze w numerze z daty 15 maja 1941, w liście do Redakcji podpisanym inicjałami Z.G. Autor tego listu wystąpił z bardzo konkretnym projektem napisania broszury pingwinowskiej na ten temat i podawał nazwiska autorów angielskich, których by o to można było uprosić. Zaiste, można sparafrazować powiedzenie Wielopolskiego: dla informacji o Polsce można jeszcze najlepiej zrobić wbrew polskiemu Ministerstwu Informacji.

Autora listu w sprawie nazw geograficznych polskich w transkrypcji angielskiej, Pana Z. G., Redakcja prosi o podanie aktualnego adresu — "na wszelki wypadek").

NIE-POLAK

Jeden z mieszkających w Londynie Polaków przesłał Redakcji "Myśli Polskiej" odpis listu wysłanego przezeń w dniu 9 maja 1942 do Redaktora dziennika "Daily Express" w Londynie. Oto przekład najistotniejszych ustępów tego listu:

"Szanowny Panie,
 W numerze Pańskiego pisma z daty dzisiejszej (sobota, 9 maja) donosi Pan, że "Max Kornreich, z Kendall-street, W., Polak, były dyrektor firmy . . . skazany został na 12 miesięcy więzienia i 2.500 funtów grzywny . . . za pomoc w sprzedaży towarów na sumę 21.000 funtów ponad dozwolony kontyngent . . ."

Twierdzenie to jest o tyle niecisłe, że Max Kornreich oczywiście nie jest Polakiem. . . .

Dlaczego w takim razie podawać go za Polaka? Jak Panu dobrze wiadomo, znaczny odsetek przestępstw przeciw przepisom o racjonowaniu (rationing and quota defences) popełniają jednostki . . . typu Kornreicha. Niektóre z nich podają się nawet za Polaków, ale w największej ilości wypadków nie znają nawet języka polskiego, a w ogóle zresztą nie mają absolutnie nic wspólnego z polskością. Prawdziwych Polaków można natomiast znaleźć w eskadrach R.A.F.

Przepaść między Polakami, a ludźmi typu Kornreicha jest tak szeroka, jak między tymi ludźmi, którzy latają nad Berlin, pobierając miesięcznie 16 funtów poborów, a . . . typami w rodzaju Kornreicha, którego przylapano na nielegalnej sprzedaży towarów za 21 tysięcy funtów.

Nierozróżniając jednych od drugich, czyni Pan bolesną krzywdę prawdziwym Polakom i niezasłużony zaszczyt . . . Kornreichom.

Z wyrazami poważania
 S.K."

ODPOWIEDZI REDAKCJI! WP. Mec. Feliks Przybyszowski. Nie podał Pan Mece-nas adresu, więc nie mogliśmy się porozumieć w sprawie zamieszczenia przysłanego listu w sprawach Marynarki Handlowej. Prosimy o adres.

Mimochodem

DOBRY ŻART TYNFA WART

W sympatycznym "Dzienniku Żołnierza," wychodzącym w Szkocji, znajdujemy w rubryce "Było nie . . . było" taką notatkę. "W pewnych kołach cywilnych naszej emigracji londyńskiej powstało zaniepokojenie po ostatnich rewelacjach Hitlera, który zakomunikował światu, że za bombardowanie portów i miast niemieckich zrewanżuje się bombardowaniem — zabytków Anglii.

Podobno pewien gmach w Londynie ma zmienić m.p., bo ze względu na nazwę Niemcy mogliby go uznać za zabytek sztuki."

Dowcip jest świetnie zakamuflowany, jak na nowoczesnych żołnierzy przystało, ale jest tak doskonały, że i ci w których jest wymierzony — muszą się śmiać.

BOMBY I BRYCZESY

Pod tym tytułem felietonista z *Daily Telegraph*, podpisujący się Peterborough, zamieszcza w swoim dzienniku z daty 5 maja następującą anegdotę:

"Oficer polski, zaproszony na obiad do kasyna jednego z pułków Gwardii gdzieś w Anglii, zjawił się w swoim najlepszym uniformie, w pepitowych bryczesach (twill breeches) i brązowych butach do jazdy konnej, świetnie wygłancowanych. Przed obiadem zauważył znaczące spojrzenia skierowane ku jego ubiorowi, ale nic nie było powiedziane.

"Podczas obiadu zdarzył się nalot i podmuch bomby wywalił jedną ścianę jadalni. Wśród huku i poruszenia Pułkownik zwrócił się do swego polskiego gościa i rzecze: "Naturalnie, powinienem był powiedzieć Panu, Kapitanie, że my nigdy nie zasiadamy do stołu w bryczesach."

Se non e vero, e ben trovato. Może nie jest *vero*, gdyż i w Polsce nie znają takich obyczajów. Najlepiej przestrzegać obyczajów kraju, w którym się jest gościem. W wypadkach wątpliwych można poprzestać na własnych zwyczajach. Ale nie można nigdy niestosować się do żadnych zwyczajów, gdyż społeczeństwo polega w znacznej mierze na umowach, choćby z lekceważeniem określanych jako konwenanse.

Już wyszła z druku książka
 WALERIANA KALINKI

p.t.

Męczeństwo św. Stanisława i jego znaczenie dla Narodu

i jest do nabycia w Firmie : F. Mildner & Sons, Herbal Hill, London, E.C.1, w cenie 1/6 za egz. (okładkę projektował inż. J. Poliński).

W tej samej Firmie są do nabycia książki : Tomasz a Kempis "O naśladowaniu Chrystusa" (7/6), oraz "Chrześcijański ustroj społeczny" (2/6).

Uwaga : W najbliższych dniach ukaże się w sprzedaży pocztówka z wizerunkiem *Ryngrafu* złożonego przez Młodzież Akademicką na Jasnej Górze w roku 1936.

Od Wydawnictwa "Myśli Polskiej"

Wydawnictwo "Myśli Polskiej" prosi uprzejmie P.T. prenumeratorów i sprzedawców, którzy zalegają z należnościami, o łaskawe wpłacanie zaległych kwot. W razie konieczności wysyłane będą stosowne rachunki. Na wypadek jakichkolwiek wątpliwości prosimy o natychmiastowe skomunikowanie się z Wydawnictwem.

Równocześnie Wydawnictwo dziękuje najserdeczniej wszystkim Przyjaciółom za datki na Fundusz Prasowy i prosi o podtrzymanie i rozszerzenie tej obywatelskiej akcji. Gdyby ktokolwiek z Ofiarodawców nie otrzymał dotąd stosownego pokwitowania, proszony jest uprzejmie o skomunikowanie się listowne z nami.

Wydawnictwo "Myśli Polskiej."

KOMPLETY "MYŚLI POLSKIEJ"

W wydawnictwie "Myśli Polskiej," 92, Eamont Court, London, N.W.8 są jeszcze do nabycia komplety lub poszczególne egzemplarze naszego pisma po cenie 9d za egzemplarz, dla nabywców amerykańskich po cenie \$1.50 za 6 egzemplarzy. Nabywcy amerykańscy oraz z innych krajów zamorskich proszeni są o równoczesne wpłacanie należności, najlepiej za pośrednictwem bankowym, gdyż wtedy dla nas ułatwione są formalności wojenne eksportowe.

MYŚL POLSKA

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Adres Redakcji :

92, Eamont Court, Regents Park, London, N.W.8. Tel. : PRImrose 4350.

Prenumerata kwartalnie (6 numerów) : 4s. 6d. lub \$1.50

Prenumerata półrocznie (12 numerów) : 9s. lub \$3.